

Polaków i Teksasńczyków łączy dążenie do wolności

Wizyta byłego prezydenta Polski – Lecha Wałęsy w Austin



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

- Uniwersytet Teksaski w Austin gościł prezydenta Franklina D. Roosevelta, Martina Luthera Kinga, Dalajlamę, a teraz ma zaszczyt gościć człowieka, którego pojawienie się na światowej scenie okazało się początkiem końca Związku Radzieckiego. Lecha Wałęsę - tak prezydent Uniwersytetu Jay Hartzell przywitał polskiego byłego prezydenta i 400-osobowy tłum, który 5 maja 2022 roku zebrał się w Audytorium Uniwersytetu, aby

posłuchać wykładu „Wojna Rosji z Ukrainą i jej globalny wpływ”.

Wojna na Ukrainie na pewno spowodowała ponowne ogromne zainteresowanie Lechem Wałęsą, postacią – legendą, twórcą „Solidarności”, który przyczynił się do obalenia komunizmu. Darmowe bilety zniknęły błyskawicznie, a sala obok, gdzie można było śledzić spotkanie na telebimach, też była wypełniona po brzegi.



Prezydent Uniwersytetu Jay Hartzell zapowiada spotkanie Pomysłodawcą i jednym z organizatorów wizyty był niezwykle prężnie działający Polski Klub, składający się ze studentów Uniwersytetu w Austin (The Polish Club at UT). Założycielem i prezesem Klubu jest nie tylko pełen pomysłów, ale też energiczny i konsekwentny w ich realizacji – Nathan Silverstein,

który na studia w Teksasie przyjechał z Kalifornii. Klub zaprasza na spotkania wybitne osobowości związane z historią Polski. W marcu np. odbyło się spotkanie przez platformę Zoom z prof. Normanem Davisem.

Mama Nathana, dr Teresa Grabiec-Silverstein też była gościem jednego ze spotkań Klubu za pośrednictwem platformy Zoom. Opowiadała o stanie wojennym w Polsce, aresztowaniu jej ojca – działacza „Solidarności” i ciężkich przeżyciach związanych z tym okresem. Teraz przyjechała z Kalifornii na spotkanie z prezydentem Lechem Wałęsą i pomagała Polskiemu Klubowi w organizacji wieczoru.

Studenci podeszli z szacunkiem do tej historycznej wizyty, ubrani w garnitury, białe koszule i czerwone krawaty, wyróżniali się na tle innych gości.

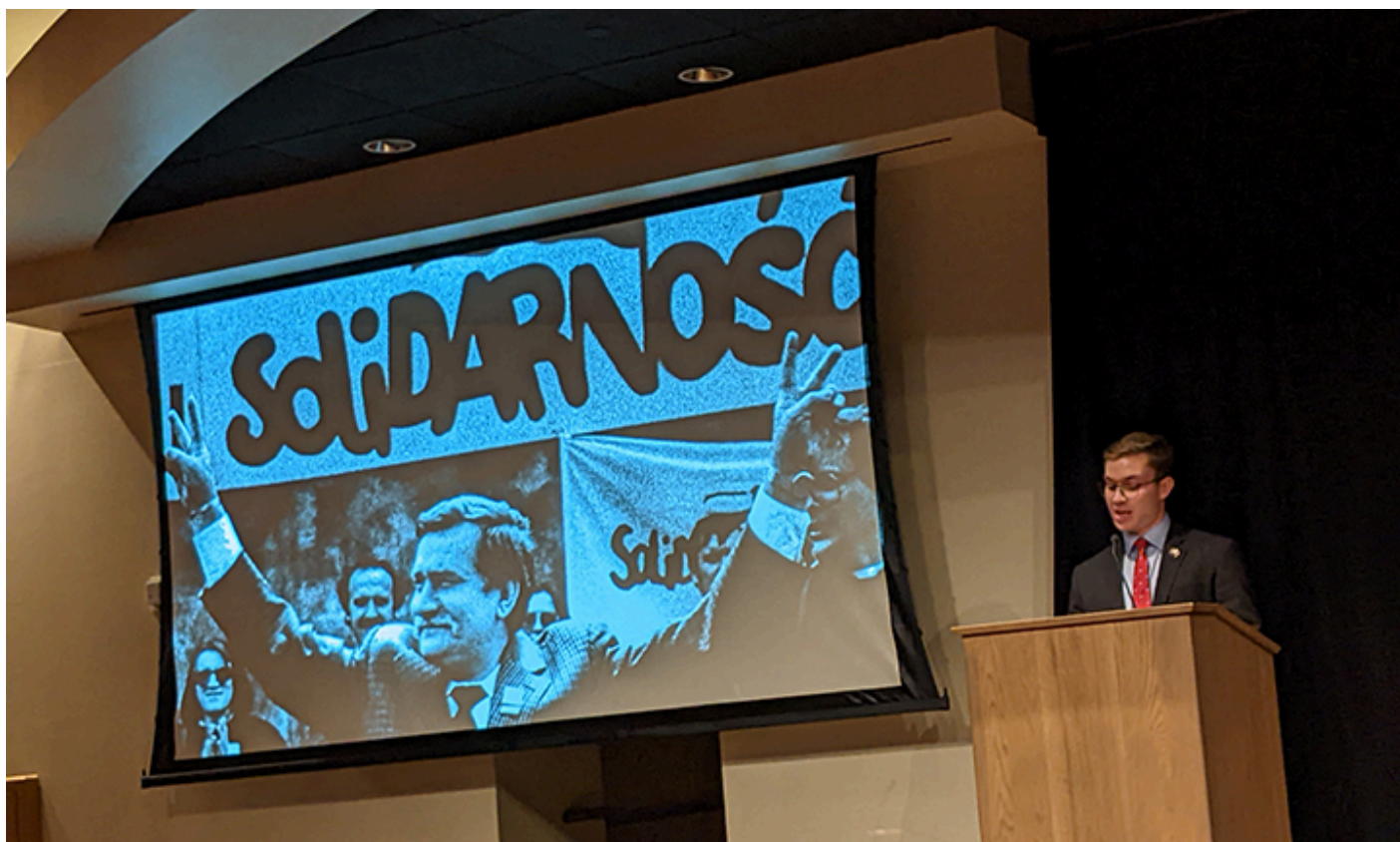
Oprócz pomysłodawcy do organizacji wizyty Lecha Wałęsy w Austin włączyły się takie instytucje oraz wydziały uniwersyteckie jak: Clements Center for National Security, Center for Russian, East European and Eurasian Studies, Center for European Studies, Liberal Arts Honors Program, McCombs School of Business, Department of Business, Department of Government, Government & Society oraz Texas Global.

Po przemówieniu prezydenta Uniwersytetu, Nathan Silverstein

przedstawił Lecha Wałęsę. Zwrócił uwagę na jego osiągnięcia jako prezydenta Polski - Nadzorował przejście do wolnorynkowej, liberalnej demokracji, z sukcesem wynegocjował wycofanie wojsk radzieckich z Polski. Był także głównym zwolennikiem członkostwa Polski w NATO i UE - powiedział.



Założyciel Polskiego Klubu, **Nathan Silverstein**, opowiada o Lechu Wałęsie



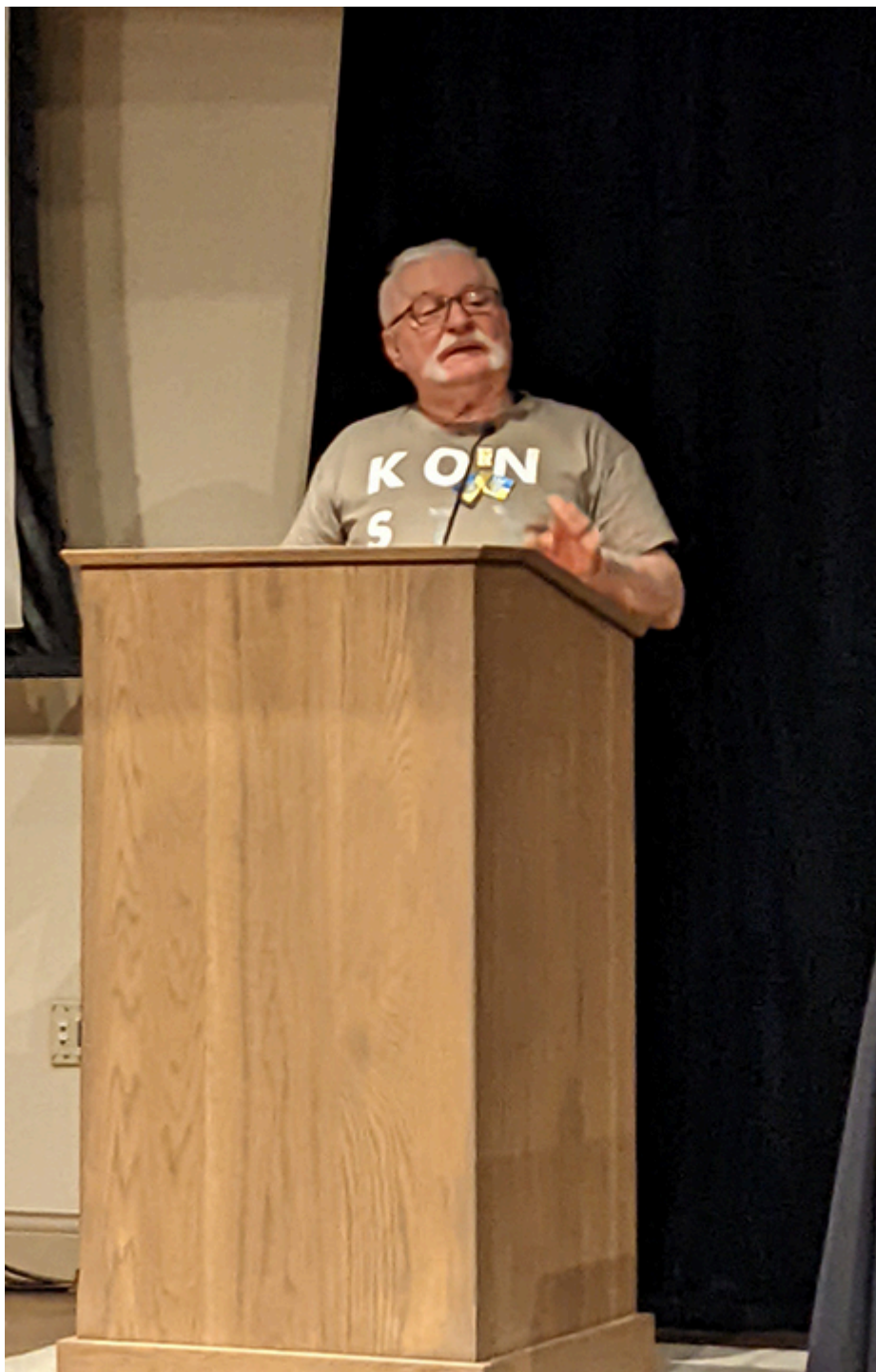
Założyciel Polskiego Klubu, **Nathan Silverstein**, opowiada o Lechu Wałęsie

Lech Wałęsa jest laureatem Pokojowej Nagrody Nobla (1983) i pierwszym prezydentem Polski po upadku komunizmu (1990-1995). Był współzałożycielem i liderem ruchu „Solidarność”, który doprowadził do demokratycznych wyborów w Polsce w 1989 r., przyczynił się do rozpadu Związku Radzieckiego i zakończenia zimnej wojny. W szczytowym okresie „Solidarność” liczyła ponad 10 milionów członków. Wałęsa został Osobą Roku *Time Magazine* w 1981 roku i znalazł się na liście 100 najważniejszych osób XX wieku *Time Magazine*. Posiada ponad 40 stopni honorowych, m.in. z Harvardu, Uniwersytetu Columbia, czy z Sorbony. Jest laureatem Prezydenckiego Medalu Wolności USA, Wielkiego Krzyża Rycerskiego Brytyjskiego

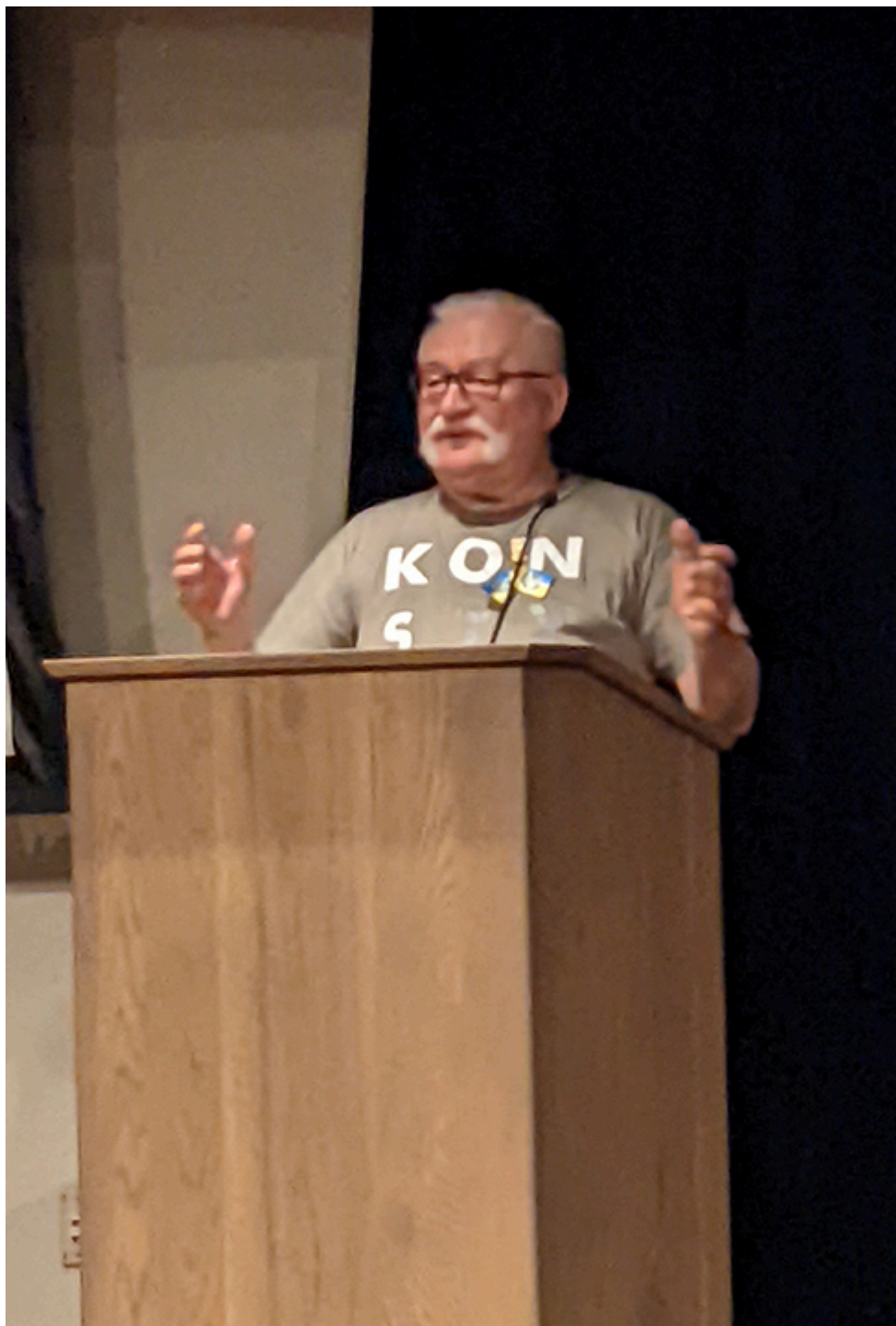
Orderu Łaźni oraz Wielkiego Krzyża Legii Honorowej Francji. W 1989 r. jako pierwszy gość zagraniczny i nie głowa państwa przemawiał na posiedzeniu Kongresu USA.

Po przedstawieniu sylwetki prezydenta, uczestnicy spotkania mogli zobaczyć krótki film o nim i czasach „Solidarności”.

Po wejściu na mównicę Lech Wałęsa zdjął marynarkę i powiedział, że spotkanie to będzie „na luzie” i żeby nie spodziewać się typowego wykładu. I faktycznie, właściwie od pierwszego zdania sala wybuchała śmiechem. Prezydent powiedział, że stosunki Niemców z Rosją zawsze były dość ścisłe, więc się często nawzajem odwiedzali. A, że Polska leżała po drodze, to albo jedni, albo drudzy się tu zatrzymywali i zazwyczaj zostawali na dłużej. Tak było np. po II wojnie światowej, kiedy Sowieci wkroczyli do Polski i narzucili nam własny system gospodarczy i polityczny.



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin

Z powodu wieloletniego doświadczenia z Rosją, Polacy mają dar dostrzegania rzeczy, które mogą się wydarzyć. – *Na długo przed wybuchem II wojny światowej – zauważył Wałęsa – mówiliśmy ludziom, że nadchodzi. Ale świat nas nie słuchał... Jako Polacy*

odczuwamy dziś ten sam rodzaj niepokoju. Tym razem zachęcamy wszystkich do słuchania nas.

Lech Wałęsa podkreślił konieczność odzyskania przez Stany Zjednoczone wiodącej roli w świecie, roli lidera. – Kiedyś Stany Zjednoczone prowadziły gospodarczo, militarnie i politycznie. Nadal chcemy, aby Stany Zjednoczone przewodziły światu.

Innym poruszonym tematem była technologia, która zmieniała podejście do granic i państwowości. Powiedział, że zarówno jego ojciec, jak i dziadek walczyli o granice Polski, że wtedy granica oznaczała bezpieczeństwo i suwerenność. I pewnie w grobie by się przewrócili, gdyby wiedzieli, że on walczy o to, żeby granice znieść. – Epoka państw i narodów dobiega końca – powiedział – a na horyzoncie widzimy erę globalizacji, intelektu i technologii.

– Mamy szansę na pokój i rozwój, ale musimy otworzyć się na dyskusję i dostosować wszystkie prawa i zasady, którymi żyliśmy do tej pory – mówił dalej.

Swoje wystąpienie podsumował marzeniem, aby obecne pokolenie było znane z walki, pokojowego pozbycia się komunizmu i budowania lepszego, bardziej sprawiedliwego świata dla wszystkich.



Prezydent Lech Wałęsa i wspaniały tłumacz Paweł Hardej podczas spotkania na Uniwersytecie w Austin



Prezydent Lech Wałęsa, tłumacz Paweł Hardej oraz prof. William Inboden (z prawej) podczas spotkania na Uniwersytecie w Austin. Po wystąpieniu prezydenta prowadzący spotkanie dyrektor Clements Center i wykładowca w LBJ School of Public Affairs, (były pracownik Białego Domu), prof. William Inboden, zadał pytania, wcześniej przygotowane przez studentów Polskiego Klubu. Były to głównie pytania o toczącą się obecnie wojnę na Ukrainie. Prezydent powiedział m.in., że proponował Włodziowi Zelenskiemu stworzenie światowej grupy ekspertów, złożonej z noblistów, wybitnych profesorów i innych specjalistów, aby doradzali mu w każdej sprawie. Czy prezydent Ukrainy skorzysta, nie wiadomo.

Wieczór z Lechem Wałęsą nie byłby tym samym spotkaniem, gdyby nie błyskotliwe tłumaczenie symultaniczne Pawła Hardeja. Mimo, że prezydent często wyprzedzał tłumacza, kontynuując wątek wypowiedzi w swoim tempie, to tłumacz przekazał to co najistotniejsze. Genialnie oddał humor, co widać było po żywiołowej reakcji sali. Paweł Hardej, absolwent Uniwersytetu Detroit Mercy (MI) jest wiceprezesem dużej firmy deweloperskiej Lincoln Ventures Inc., budującej apartamentowce. Prywatnie Paweł Hardej jest ojcem studentki Uniwersytetu w Austin, Izabeli Hardej, która jest członkiem Klubu Polskiego.



W tym samym dniu, w którym miało miejsce spotkanie na Uniwersytecie, prezydent Lech Wałęsa został zaproszony przez gubernatora Teksasu, Grega Abbotta, do jego prywatnej rezydencji w Austin. Na koncie gubernatora Grega Abbotta na Twitterze pojawiło się zdjęcie z wizyty Lecha Wałęsy w jego domu z podpisem: *Świetne spotkanie z byłym prezydentem Polski Lechem Wałęsą w Rezydencji Gubernatora w Austin dzisiaj rano. Był pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem Polski po rządach komunistycznych. Polaków i Teksasńczyków łączy wspólna cecha - dążenie do wolności.*

<https://twitter.com/GovAbbott/status/1522266041430286336/photo/1>

Na koniec pragnę jeszcze raz wyrazić uznanie dla Klubu Polskiego za tak prężną i z dużym rozmachem prowadzoną działalność na rzecz polskiej historii i to nie tylko na szczeblu uniwersyteckim, ale i na stanowym. Dzięki takim spotkaniom poszerza się wiedza o Polsce i jej dokonaniach. Wizyta prezydenta Lecha Wałęsy w Austin na pewno przejdzie do historii.

Fotografie: Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka

*

Nagranie ze spotkania z prezydentem Lechem Wałęsą na Uniwersytecie w Austin:

<https://www.texaspolishclub.com/walesa>

*

Lech Wałęsa mówi o wojnie na Ukrainie do studentów, profesorów i innych organizatorów podczas spotkania w

restauracji Capital Grille w Austin:

Polskie listopady



Fot. cocoparisienne from Pixabay

Stefan Król (*London, Ontario, Kanada*)

Polska ma dwie ważne daty w nowożytnej historii: trzeci maja 1791 i jedenasty listopada 1918 r. Obie uczyniła świętami narodowymi. Pierwsza data zamyka historię Rzeczypospolitej

Obojga Narodów, w dwa lata bowiem po Konstytucji Trzeciego Maja nastąpił kataklizm rozbiorów. Druga rozpoczyna odrodzenie i historię Drugiej Rzeczypospolitej. Dobrze, że tak się stało. Te dwa święta unieważniają niejako rozbiory, zachowują ciągłość wolnej Polski.

“Listopad to dla Polski niebezpieczna pora” – mówi w dramacie Stanisława Wyspiańskiego “Noc listopadowa” Wielki Książę Konstanty. Rzeczywiście, jeśli przyjrzymy się różnym polskim listopadom, to przyznać musimy, że książę miał rację. Dzieje agonii i dzieje zmartwychwstania Rzeczypospolitej rozegrały się w wyobraźni Polaków właśnie na przestrzeni tego jednego miesiąca.

Pierwsza konfederacja, która wezwała na pomoc Rosję do rozwiązania wewnętrznych problemów Polski, została zawiązana w Tarnogrodzie 26 listopada 1715 r. Pierwsza konfederacja, która nastąpiła przeciw Rosji – powstała w Dzikowie w 1734 r. W cieniu Rosji i wśród coraz szybciej następujących po sobie listopadów minęło także panowanie ostatniego monarchy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, koronował się bowiem Stanisław August 25 listopada 1764 roku. Ostatni sejm Rzeczypospolitej – rozbiorowy sejm grodzieński – zakończył obrady w r. 1793 – 23 listopada. W niespełna rok później konało już powstanie kościuszkowskie: 4 listopada 1794 doszło do pamiętnej rzezi Pragi, 5 listopada do kapitulacji Warszawy, a 16

listopada do rozwiązania ostatnich oddziałów pod Radoszycami. Po upływie roku (a po 31 latach tragicznego panowania) Stanisław August złożył koronę w tym samym dniu, kiedy ją założył – 25 listopada.

Zanim nastąpiło listopadowe wskrzeszenie Polski w XX w., najważniejsze wydarzenia czasów niewoli rozegrały się znów w listopadzie. 28 listopada 1806 r. armia napoleońska przyniosła wolność pruskiej wtenczas Warszawie. Po sześciu latach kolejny listopad pogrzebał możliwość wskrzeszenia całej Rzeczypospolitej, gdy w dniach 26-28 listopada 1812 armia polska towarzysząca Napoleonowi przeprawiła się przez Berezynę z wielkimi stratami w odwrocie spod Moskwy.

I znów mijały lata i kolejne listopady wskrzeszały lub zabijały polskie idee wolnościowe. 29 listopada 1930 r. pożar warszawskiego browaru na Solcu stał się sygnałem do największego naszego powstania narodowego – nazwanego listopadowym właśnie – a w rezultacie także do wielkiej wojny polsko-rosyjskiej, trwającej dłużej niż moskiewska wyprawa cesarza Francuzów. 16 listopada 1846, dokładnie w rocznicę Radoszyc, wcielono do Austrii ostatni kawałek polskiej państwowości – Rzeczpospolitą Krakowską; listopad 1864 widział z kolei kres działalności ostatniego partyzanta Powstania Styczniowego – księdza Stanisława Brzóska. Aby zakończyć tę listopadową wyliczankę dodam, że obalenie muru berlińskiego w

1989 r., symbolu władzy komunizmu nad Europą, nastąpiło także w listopadzie.

Po wielu pozornie cichych latach, gdy trzeba było schować szable do pochew, a zaprzęgnąć do pracy wolnościowej pióra i umysły, nadszedł wreszcie listopad 1918 r., najszcześniejszy chyba listopad w całej historii Polski. Polska stała się znowu niepodległa i mogła wrócić do Europy. Więc może skończyła się wreszcie nasza zła listopadowa passa.

Przedwojenny dorobek odrodzonej Polski warto i należy wspominać z uznaniem, nawet z dumą. Wolność, o którą Polacy walczyli powstaniem, wolność długo wyczekiwaną, wolność wymodloną, nie została zmarnowana. Polacy wiedzieli, co z wolnością zrobić, jak wolność zorganizować. I jeśli po drugiej wojnie światowej wydawało się czymś niewyobrażalnym, aby łąd w Europie dało się ponownie ustanowić bez przywrócenia państwa Polskiego (nawet Stalin nie myślał o utworzeniu 17. republiki), fakt ten należy przypisać przede wszystkim zdobyczom Drugiej Rzeczypospolitej w ciągu owych niepowtarzalnych dwudziestu lat prawdziwej niepodległości między pierwszą i drugą wojną światową.

Podstawowym problemem odrodzonej Polski była integracja. Ludność, instytucje i tradycje trzech zaborów należało stopić w jedną całość. Żeby sobie uświadomić, jak ogromnie trudny i

złożony był to problem, podam tylko, że w pierwszym okresie niepodległości było w obiegu pięć różnych walut; pięć regionów kraju (Wielkopolska, Śląsk, Cieszyn, Galicja Wschodnia i Środkowa Litwa) utrzymało różne systemy administracji; w wojsku używano czterech różnych oficjalnych języków; w sądach – trzech różnych kodeksów karnych; tory kolejowe wymagały wagonów o dwóch różnych rozstawach kół.

Dodajmy do tego ogromne zniszczenia wojenne. Prawie 90% międzywojennego obszaru państwa polskiego było terenem działań wojennych. Na 22% powierzchni toczyły się długotrwałe, wyniszczające walki pozycyjne. W wyniku działań wojennych, epidemii, głodu i deficytu urodzeń liczba ludności w 1920 r. na terenie Polski zmniejszyła się o prawie trzy miliony w stosunku do roku 1910. I oto w przeciągu zaledwie dwudziestu lat, które historia podarowała Polsce międzywojennej, naród polski zdążył zespolić swe trzy dzielnice, potwierdzić i wzmocnić swą osobowość, wyrażoną w większości przypadków przez demokratyczne instytucje. Pamiętajmy, że wybory do pierwszego sejmku polskiego odbyły się już 26 stycznia 1919 r., gdy formalnie rzecz biorąc nawet jeden kilometr polskich granic nie był ustalony. Frekwencja wyborcza była bardzo wysoka i wahała się, mierząc powiatami, od 60 do 90 procent. Polskie tradycje parlamentarne zaliczają się do najstarszych w Europie, sformowały się już w XV w. Konieczność zwołania sejmku była wprost dogmatem dla ludzi spodziewających się, że wojna

światowa poprawi położenie narodu. Odzyskawszy niepodległość Polska szybciej i energiczniej zabrała się do zwoływania sejmu niż zorganizowania armii, choć i armię zdążyła stworzyć na czas. Doszło do głosu poczucie historyczne i prawne ogromnej większości społeczeństwa.

Co było pierwszą, podstawową przyczyną tego sukcesu narodowego?

W drugim roku swego pontyfikatu Jan Paweł II mówił na forum UNESCO:

Jestem synem Narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejowe, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu i pozostał sobą, zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako Naród – nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg [...]. Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu. Jest to ta zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek.

Tak więc to polska kultura zwyciężyła naszych zaborców. To był

ów dynamit, który rozsadzał pęta niewoli – mimo długiego ciągu smutnych polskich listopadów.

Nie jest łatwo udzielić w pełni uzasadnionej odpowiedzi na pytanie, w czym tkwiła – i mam nadzieję jeszcze tkwi – ogromna siła i atrakcyjność polskiej kultury. Nawet w czasach niewoli wielu Kolbergów, Estreicherów, Trauguttów polonizowało się i stawało polskimi patriotami. Można co najwyżej pewnym obrazem, czy raczej opowiadaniem, naprowadzić na właściwą – jak się wydaje – odpowiedź.

Każdy naród pieczołowicie przechowuje swoje najstarsze teksty. Norwegowie i Szwedzi są dumni ze swoich starych sag skandynawskich, opiewających przewagi wojenne wikingów.

Francuzi mają słynną “Przysięgę strasburską” z 842 r., wypowiedzianą na znak przymierza politycznego przez dwóch wnuków Karola Wielkiego. Najstarsze zapisane zdanie włoskie nie nadaje się do powtórzenia, bo jest bardzo brzydkie.

Najstarsze zapisane polskie zdanie znajduje się w tzw. Księdze Henrykowskiej, pochodzącej z drugiej połowy XIII w. Jest to pisana po łacinie – z wyjątkiem owego jednego zdania polskiego – kronika klasztoru spod Wrocławia. W jednym ustępie kronika opowiada, jak to w pobliżu klasztoru rolnik Boguchwał Brukał otrzymał od księcia Mieszka Starego ziemi “na cztery woły”, a potem sam zagarnął lasu “na cztery pługi”. Wracał z tego karczowania bardzo utrudzony, ale gdy w domu widział, jak żona

męczy się przy żarnach, mieląc zboże na chleb, nieraz jej powiadał (i tu kronikarz zapisał, co on do niej po polsku mówił): “Daj ać ja pobruszę, a ty poczywaj”, przekładając na współczesna polszczyznę znaczy: “Daj, niechże ja pomiele, a ty odpocznij”.

To pierwsze polskie zdanie wskazuje, w czym tkwi siła polskiej kultury, jest to po prostu kultura rodzinna. To polski dom okazał się fortecą polskości. Zaborca nie przeszedł progu polskiego domu rodzinnego.

Żyjemy w określonym miejscu i w określonym czasie. Stwierdzenie oczywiście banalne, ale konsekwencje faktu wyrażonego tym stwierdzeniem banalne nie są, bo on właśnie określa nasze życie, nasz sposób bycia między ludźmi, nasz projekt przyszłości i sposób dziedziczenia, nasze hierarchie wartości, pragnienia, sposoby rozumienia świata. Miejsce to przestrzeń, która jest w zasięgu mojej ręki, którą wyznacza próg mojego domu, granica powiatu lub prowincji, słupy graniczne mojego lub nie mojego państwa. I czas. Czas zapamiętany, opowiadany, czas życia moich rodziców i dziadków, przeszłość niby umarła, a żyjąca we mnie, i przyszłość – pole realizacji moich zamiarów. W obrębie tej przestrzeni i tego czasu buduję swój krąg swojskości, bez którego nie mogę być szczęśliwy, bo nie mogę czuć się bezpieczny. Budując krąg swojskości wchodzę w kontakt z innymi ludźmi, którzy żyją na tym terytorium, ale szukam przede wszystkim tych, co są ukształtowani przez tę

samą kulturę, z którymi łączą mnie te same mity i przesady, którzy mają tę samą pamięć i rodzaj wyobraźni, którzy rozumieją moje dowcipy. Ci, co twierdzą, że więzy narodowe można z dnia na dzień zastąpić innymi więzami grupowymi, np. zawodowymi, nie wiedzą, co stanowi fundament ich tożsamości duchowej, są podobni do pana Jourdain z komedii Moliera, który nie wiedział, że mówi prozą.. Ale i ci, co nie chcą zobaczyć poza swoim płotem sąsiada, nie uczynią swego mieszkania domem. Bo dom jest wprawdzie miejscem bezpieczeństwa i swojskości, ale właśnie dlatego, że jest, również miejscem otwartości i gościnności, gdzie gospodarz siadając na progu może powiedzieć – jak w legendzie o greckim filozofie ogrzewającym się przy domowym ogniu – przechodniu, wejdz, tu także mieszkają bogowie. Ci, co tego nie wiedzą, są podobni do rozbitków na bezludnej wyspie.

Nasze obyczaje dotyczące życia i śmierci, miłości, narodzin i wszystkich ważnych wydarzeń, stwarzają wokół nas jakby żywioł, w którym żyjemy; są naszą sprawdzoną łódką, w której płyniemy przez życie. Bez tej łódki musielibyśmy się chwytać przypadkowo napotkanej belki obcych dla nas obczajów. Na takiej belce można dopłynąć do najbliższej wyspy, ale nie można po ludzku żyć.

Stefan Król (1937-2015) – kanadyjski fizyk, felietonista.

Na straży rodzinnej kolekcji

**Z dyrektorem Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie -
Janem Przypkowskim, rozmawia Joanna Sokołowska-
Gwizdka**



Jan Przypkowski, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Przypkowscy herbu Radwan (Radwanici) pochodzą z Mazowsza. W XVI w. rodzina Przypkowskich przystąpiła do braci polskich – arian, a Jan Przypkowski (ok. 1520 – ok. 1606) uznający ideały równości uwolnił swoich poddanych z pańszczyzny. Znany XVII-wiecznym przedstawicielem rodu był Samuel Przypkowski (ok. 1592-1670) – pisarz religijny i polityczny, działacz braci polskich, filozof, poeta, związany z dworem Radziwiłłów w Birży. W XVIII w. słynnym Przypkowskim stał się profesor astronomii i matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim Jan Józef Przypkowski (1707-1758). Był on m.in. wydawcą kalendarzy, a w

1740 r. zaprojektował zegar słoneczny na Kościele Mariackim w Krakowie. Rodzina Przypkowskich osiedliła się w Jędrzejowie na początku XIX w. Kupili wtedy kamienicę w rynku. Piotr Andrzej Przypkowski, producent mydła i świec, ufundował w miasteczku kaplicę przy kościele parafialnym i kazał wędrownemu malarzowi wymalować na niej zegar słoneczny. Kolekcję dotyczącą astronomii i gnomoniki (nauka o zegarach słonecznych) zapoczątkował syn Piotra Andrzeja – Feliks Przypkowski (1872-1951), który przez pięćdziesiąt lat był lekarzem w Jędrzejowie. Od końca XIX wieku gromadził on zegary słoneczne i literaturę na ich temat, prowadził pomiary meteorologiczne, zbudował też w Jędrzejowie, istniejące do dziś, obserwatorium astronomiczne. Pasję kolekcjonerską Feliksa Przypkowskiego podzielił jego syn Tadeusz Przypkowski (1905-1977), historyk sztuki, grafik, fotografik, miłośnik starych książek i heraldyki. Nie tylko był jednym z nielicznych na świecie znawców zegarów słonecznych, ale także i ich budowniczym. Stworzył m.in. osiem zegarów dla obserwatorium w Greenwich. W 1962 roku został dyrektorem Państwowego Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie. Wtedy też przekazał kolekcję zegarów słonecznych państwu. Tadeusz Przypkowski ożenił się ze Stefanią z Ossowskich, więźniarką Ravensbrück, wdową po Witoldzie Hulewiczu – znanym krytyku literackim, poecie, tłumaczu i wydawcy, rozstrzelanym w 1941 r. w Palmirach. Ich syn, Piotr Maciej Przypkowski, historyk sztuki, przez wiele lat również pełnił funkcję dyrektora Państwowego Muzeum im.

Przypkowskich w Jędrzejowie, aż do przejścia na emeryturę w 2017 r. Obecnie dyrektorem muzeum jest syn Piotra Macieja – Jan Przypkowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Wychowywał się Pan w Jędrzejowie?

Jan Przypkowski:

Tak, wychowywałem się w Jędrzejowie, ale tylko do końca szkoły podstawowej. Do liceum poszedłem już w Warszawie.

Potem skończył Pan historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim i rozpoczął pracę zawodową w prestiżowych placówkach, o których marzy każdy historyk sztuki.

Pracowałem w Zamku Królewskim w Warszawie, w Niemieckim Instytucie Historycznym i w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, współpracowałem z różnymi muzeami, w tym najdłużej z Muzeum Narodowym w Warszawie. Było to ciekawe doświadczenie zawodowe. Z Zamkiem Królewskim zacząłem współpracować jeszcze na studiach jako edukator – prowadziłem zajęcia tematyczne dla szkół, z różnymi grupami wiekowymi, potem pracowałem na etacie w zamkowym Ośrodku Oświatowym.

Wyrastał Pan w rodzinie z kolekcjonerską pasją, w atmosferze sztuki. Czy od dzieciństwa wiedział Pan, że stanie kiedyś na straży zbiorów rodzinnych i zostanie dyrektorem muzeum, tak jak Pana dziadek czy ojciec?

Rodzina robiła wszystko, żeby oswoić mnie z tą myślą. Miałem więc świadomość, że kiedyś to nastąpi. Aż w końcu przyszedł ten czas i mimo, że miałem zorganizowane życie rodzinne i zawodowe w Warszawie, zdecydowałem, że należy wrócić do Jędrzejowa i kontynuować rodzinną tradycję.

Jest Pan na stanowisku dyrektora już cztery lata. W tym czasie była pandemia, która wstrzymała pracę placówek muzealnych. Jak Pan ocenia swoją pracę w muzeum i jaka jest Pana wizja rozwoju tego miejsca?

Muzeum wciąż wymaga różnego rodzaju inwestycji, remontów. Na niektóre dostajemy środki z zewnątrz, na inne musimy się starać sami, aby te środki pozyskać. Staram się wciąż rozwijać edukację i organizować lekcje muzealne na różne tematy dla szkół z Jędrzejowa i okolic. Osobną sprawą są wystawy czasowe, które od wielu lat regularnie w muzeum organizuję. Wielką zasługą mojego ojca jest to, że zaktywizował lokalne środowisko. Każda wystawa to połączona z koncertem uroczystość, na którą się przychodzi. Ojciec zachęcił też miejscowych twórców, żeby w muzeum wystawiali swoje prace i przychodzili potem ze swoimi

rodzinami. Muzeum w Jędrzejowie, za czasów dyrekcji mojego ojca, było więc skierowane do lokalnej społeczności. Moim pragnieniem jest wyjść dalej, poza Jędrzejów i okolice, chciałbym, aby nasze wystawy przyciągały też ludzi z zewnątrz i były dla nich atrakcyjne.

W planach przed pandemią miał Pan rozbudowę ekspozycji gastronomicznej. Tadeusz Przypkowski interesował się historią kuchni polskiej, gromadził różne sprzęty potrzebne w kuchni, książki kucharskie, dawne przepisy, menu z różnych restauracji. Na jakim etapie jest teraz ta ekspozycja?

Dział gastronomii w muzeum jest bardzo bogaty i obejmuje nie tylko sprzęty do przygotowywania posiłków, ale również przepisy kulinarne. W bibliotece mamy mnóstwo książek, w tym starodruków, poświęconych kuchni, są też różnego rodzaju menu z restauracji i to często takich, które już dawno nie istnieją.

Ekspozycja gastronomiczna, która była w muzeum, zanim objąłem stanowisko dyrektora, nie posiadała informacji na temat zastosowania poszczególnych narzędzi kucharskich. Marzyło mi się zorganizować tę ekspozycję w nowy sposób, żeby zwiedzający wychodząc z tej wystawy wiedzieli znacznie więcej, niż przed wejściem. Chciałem zaznaczyć wyraźny podział na typy sprzętów, z opisem, do czego służyły, pokazać różne aspekty do

przygotowywania pożywienia, żeby była to wystawa, z której można coś wynieść i się nauczyć. Tak więc obecna ekspozycja kulinarna ma poruszać problemy z zakresu kultury jedzenia, czy zachowania się przy stole.

Z powodu pandemii nie było możliwości zorganizowania uroczystego otwarcia nowej ekspozycji, ale pokazujemy ją już zwiedzającym i słyszymy od nich dużo pozytywnych komentarzy. Okazją do zorganizowania imprezy promującej nową wystawę – o ile pandemia pozwoli – będą Europejskie Dni Dziedzictwa we wrześniu tego roku.

Dział gastronomii to też wspaniały zbiór zastawy stołowej, porcelany na różne okazje. Często nawet nie domyślamy się do czego mogły dane naczynia służyć. Piękny i unikalny jest np. wózek do serwowania wina roboty słynnej paryskiej firmy Christoffle, zdobiony ornamentem z winnej latorośli. Jakie jeszcze przedmioty związane z kuchnią, o ciekawej historii czy zastosowaniu kryje Muzeum w Jędrzejowie?

Och, długo by wymieniać. Sporo jest sprzętów, które dziś już nie mają zastosowania, jak na przykład maszynka do lodów wraz z całym oprzyrządowaniem. Jest też wiele przedmiotów, których dokładne przeznaczenie mogliśmy zrozumieć dopiero po kilkukrotnym przestudiowaniu przepisów z kilku starych książek kucharskich.

Wbrew temu, co się na całym świecie promuje jako typową kuchnię polską - schabowy, pierogi, bigos, czy kiełbasa, kuchnia staropolska była bardzo bogata i atrakcyjna.

Pracując w Katedrze Literatury Staropolskiej na Uniwersytecie Łódzkim miałam okazję zetknąć się z wieloma tekstami na ten temat. Zagłębiając się w zagadnienie byłam pod wrażeniem bogactwa przypraw, wykorzystywania runa leśnego w kuchni i przeróżnych naczyń świadczących o kulinarnej finezji.

Tak, to prawda. Właśnie zarówno o tej finezji w kuchni, jak też ilości osób zasiadających do stołu świadczą książki kucharskie, które mamy w bibliotece, jak np. „Kucharz doskonały” – weź żubra świeżego, albo łosia....

Lub - weź ćwierć wołu na rosół.

A skoro jesteśmy przy kuchni, czy próbuje Pan zainteresować miejscowe lokale gastronomiczne przepisami staropolskimi, czy też słynnymi przepisami pana babci - Stefanii Przypkowskiej, na dania podawane podczas zjazdów historyków sztuki w Jędrzejowie?

To są raczej skomplikowane dania. Ale niektóre jędrzejowskie restauracje serwują od czasu do czasu uproszczoną wersję Przypkowskiej zupy cebulowej.

W Państwa bibliotece można obejrzeć też unikalny zbiór starodruków, który liczy ok. 600 tomów. Do najcenniejszych eksponatów należy dzieło Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium”, wydane w 1566 r. w Bazylei. Są też książki z autografami Heweliusza, Kartezjusza czy Huyghensa. Skąd takie cenne wydania w zbiorach bibliotecznych muzeum?

Większość starodruków kupował Feliks Przypkowski. Interesował się astronomią, pomimo, że skończył medycynę. Lekarz – to był jego zawód, a astronomia – to hobby. Kupował książki już podczas studiów w Wiedniu, miał potem kontakty z wieloma antykwariuszami, którzy powiadamiali go jak się coś ciekawego u nich pojawiło. Starodruki wówczas nie były bardzo tanie, ale nie był to ten poziom cenowy, co obecnie, stąd też początkujący lekarz powiatowy mógł sobie pozwolić na regularne kupowanie m.in. książek. Dzięki pasji astronomicznej Feliksa zawdzięczamy ten zbiór cennych książek.

Kolejna pasja Feliksa Przypkowskiego, kontynuowana przez Tadeusza Przypkowskiego to zegary słoneczne i wszelkiego rodzaju przyrządy do pomiaru czasu, jak np. klepsydry, zegary ogniowe, czy przyrządy astronomiczne. Zegary są wystawione nie tylko w gablotach, ale i w plenerze, w ogrodzie. Mówi się, że zbiór jędrzejowskich zegarów słonecznych to jeden z największych zbiorów

gnomonicznych w Europie.

Nasza kolekcja zegarów słonecznych i przyrządów astronomicznych uchodziła niegdyś za trzecią na świecie (po History of Science Museum, Oxford i Adler Planetarium, Chicago). Dziś to się już prawdopodobnie zmieniło, bo nie prowadzimy regularnych zakupów, tak jak dawniej. Ostatnio kupiliśmy dwa angielskie zegary słoneczne z XVIII i XIX wieku pod koniec 2019 r. Mimo to nasza kolekcja – obejmująca prawie 400 obiektów – jest z pewnością największą w Polsce i jedną z najliczniejszych na świecie. Na terenie Muzeum znajduje się też wyjątkowy Ogród Czasu, powstały według koncepcji Tadeusza Przypkowskiego, gdzie pośród schodów wodnych, ziół leczniczych i symboli związanych z astronomią i astrologią odmierza czas trzynaście zegarów słonecznych różnych typów, starych i nowych.

W 2019 r. otrzymali Państwo dotację na zdigitalizowanie 17 600 fotografii, autorstwa zarówno Feliksa, jak i Tadeusza Przypkowskich. Warto wspomnieć, że Tadeusz Przypkowski miał przed wojną wiele wystaw fotograficznych w Europie. Dla niektórych negatywów, to już ostatni dzwonek, żeby je zachować. Proszę powiedzieć jaką tematykę obejmuje ten fotograficzny zbiór?

Feliks Przypkowski był jednym z pionierów fotografii w

Jędrzejowie. Na szklanych kliszach uwieczniał obraz miasta z początku XX w., w tym sceny targowe z udziałem Żydów. Jednak zdecydowaną większość stanowią negatywy pozostawione przez Tadeusza. Robił on ogromną ilość zdjęć, z których chyba z większości nigdy nie wykonano odbitek. Pośród nich są oczywiście kadry uwieczniające życie rodzinne, jednak najwięcej jest zdjęć dokumentujących jego liczne podróże, w tym unikalne dziś przedwojenne widoki miast: Warszawy, Krakowa czy Wilna. Zdjęcia Tadeusza Przypkowskiego powstawały w latach około 1930-1960, więc materiał ilustracyjny jest ogromny i bardzo różnorodny.

Podczas pandemii otrzymali też Państwo niezwykle dar - kolekcję aparatów fotograficznych zbieranych latami przez pana Kazimierza Koziola, spod Tarnowa. Czy te aparaty są na tyle ciekawe pod względem historycznym, że włączycie je Państwo do zbiorów Muzeum?

Tak, to bardzo ciekawa kolekcja, która obejmuje sprzęt fotograficzny z lat 20.-90. XX w. Są to głównie sprzęty amerykańskich producentów (Kazimierz Koziół długo przebywał i pracował w Stanach Zjednoczonych). Znajdują się w niej zabytki z lat 20.-30. XX w., ale też np. liczne aparaty typu Polaroid z lat 40. Na pewno do „highlight’ów” zbioru należą najstarsze aparaty z lat 20. XX w., czy wielkoformatowy, mieszkowy aparat Graflex - swego czasu podstawowy sprzęt fotoreporterów prasowych.

Warte odnotowania są też liczne aparaty dla amatorów z lat 50.-60. XX w. – często w oryginalnych opakowaniach, wraz z instrukcjami i dodatkowymi akcesoriami. Są to szczególnie unikalne obiekty, bo takie rzeczy, jak opakowania, a i same aparaty amatorskie – z reguły szybko się wyrzuca. Oprócz tego jest kilka kamer filmowych oraz liczne sprzęty dodatkowe – lampy błyskowe, światłomierze, dalmierze i inne akcesoria. Większość zbioru z przyjemnością przyjmiemy do naszego Muzeum, bo wraz z zabytkowym sprzętem fotograficznym Feliksa i Tadeusza Przypkowskich stworzą one zbiór, który już może być podstawą sensownej wystawy o historii fotografii. Ponieważ jednak w podarowanej nam kolekcji jest sporo egzemplarzy, które się powtarzają (np. ok. 20 sztuk aparatów typu Kodak Brownie), część przyjmie Jędrzejowskie Centrum Kultury i stworzy z tego małą, stałą ekspozycję edukacyjną.

Ma Pan dwóch synów. Czy też myśli pan o przyszłości dla nich w Jędrzejowie?

Nie chcę ich do niczego zmuszać, aczkolwiek byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby przynajmniej jeden z nich zdecydował się kontynuować rodzinną tradycję.

Jest coś niezwykłego w tym, że może się pracować w miejscu, które budowali dziadek i pradziadek, że stoi się na straży kolekcjonowanych od lat eksponatów, że się

ekspozycję rozwija i dzieli wiedzą z innymi.

Mam to poczucie i przyznam się, że dodaje mi ono skrzydeł.



G A L E R I A

Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka





Obserwatorium astronomiczne Feliksa Przytkowskiego



Ogród Czasu







Gabinet Feliksa Przykowskiego









Biblioteka



Tadeusz Przypkowski





















PAŃSTWOWE MUZEUM im. PRZYPKOWSKICH w Jędrzejowie

pl. Kościuszki 7/8, 28-300 Jędrzejów

tel. (0-41) 386-24-45, fax. (0-41) 386-54-89

e-mail: muzeumprzypkowskich@o2.pl

www.muzeum.jedrzejow.pl

Źródła:

Wikipedia, www.zabytki.pl

Z rodzinnego albumu.
Najdłuższe wakacje.



Teresa Fabijańska, maturzystka, 1951 r., fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Zurawska (*Łańcut*)

Spoglądam wstecz z perspektywy pięćdziesięciu pięciu już lat na ostatni rok szkoły średniej ogólnokształcącej i okres ten jawi mi się ponuro. Im bliżej matury, tym gorzej. Pierwsze dwa lata były normalne: pierwsza i druga klasa gimnazjalna z programem opartym na przedwojennym. W trzecim roku znalazłam się nagle w klasie dziewiątej, bo właśnie wprowadzono zreformowaną po sowiecku jedenastolatkę. Żeby rachunek się zgadzał, mój rocznik repetował drugą klasę, młodsze koleżanki tymczasem nas dopędziły. W rezultacie ja uczyłam się 12 lat łącznie ze szkołą

podstawową, a roczniki młodsze tylko 10. Wszystko było postawione na głowie. Historię zaczynałyśmy trzy razy od Piastów i nigdy nie dojechałyśmy do rozbiorów. Historyczka była z przypadku lub po linii partii, bo ograniczała się do dyktowania nam konspektu narzuconego przez kuratorium czy ministerstwo. To były same hasła w telegraficznym skrócie brzmiące dla nas podobnie, jak zaklęcia. Jakże zazdrościłam bratu Juliuszowi, który miał szczęście być uczniem prof. Michała Pieszki, wspominanego już przeze mnie wcześniej, znakomitego pedagoga i znawcy pasjonującej historii i geografii. On uczył chłopców bez podręczników, ale za to jak!

Szkoła średnia to taki okres w życiu młodego człowieka kiedy chłonie się to, co podane w sposób atrakcyjny i odrzuca wszelkie nudy, choćby najmądrzejsze. Dużo zależy od pedagoga – porwie, zapali do przedmiotu, czy zohydzi. Ja musiałam później uczyć się historii sama. Zresztą uczę się jej z pasją po dzień dzisiejszy. Dwa tygodnie przed maturą wyznaczono nam obowiązkowy egzamin z pięciu przedmiotów tzw. Wszechnicy Radiowej. Kto miał czas tego słuchać? – Audycje nadawane przez kołchoźniki – czyli głośniki radiowe, były nudnymi, suchymi wykładami o kierunku ideologii marksistowskiej, z przekreślonymi faktami i zafałszowaną interpretacją, a do tego nadawano je w godzinach, gdy normalni ludzie jeszcze śpią. Do każdego przedmiotu były skrypty, których nie dało się czytać. Papier gorszy od ówczesnego gazetowego, szaro-brudny i nieczytelne odbitki z

powielaczy denaturatowych. W dodatku na wagę złota. Zbierałyśmy się więc grupkami w prywatnych domach. U Alisi (Alicji) Treflerówny, gdzie w kwietniu było pioruńsko zimno, u Heli Zawrotniak – strasznie daleko, u Heni Walewskiej lub u Lalki (Ireny) Szomańskiej, gdzie było najmilej. Zawsze gościnny dom z nianią, coś smacznego i kochająca mama. Pewnie uczyłyśmy się i u mnie, ale jakoś tego nie pamiętam. Sześć zaprzyjaźnionych maturzystek. Po tym niewątpliwym stresie, przygotowywałyśmy się już inaczej i do innych przedmiotów bardzo intensywnie, bo czas nam się skrócił.

Do lęku o wiedzę w głowie doszedł strach przed „czynnikiem społecznym”, czyli osobą spoza szkoły, która zasiadała w komisji z ramienia partii politycznej, oceniała uczennicę i miała prawo zadawać pytania z ideologii marksistowskiej – komunistycznej. Małe potknięcie dyskwalifikowało maturzystkę. Pamiętam swój egzamin, podczas którego byłam tak spięta, że mój mózg przestał myśleć. Na pytanie zadane przez bardzo swobodnego zetempowca (organizacja młodzieży komunistycznej – ZMP – Związek Młodzieży Polskiej) „czy społeczeństwo ZSRR jest klasowe?” – odpowiedziałam gorąco – skądże!” I otrzymałam długie pouczenie, którego esencję zrozumiałam, że na tym etapie jeszcze jest podział klasowy, ale w przyszłości... Nie umiałam wyobrazić sobie tej przyszłości. Wszak uczono nas o możliwości odwrócenia biegu rzek syberyjskich (ciekawe, że ta bzdura przetrwała aż do Putina, który ogłosił oficjalnie odstępnie od

tego planu). Głoszono nam oczywiście zwycięstwo człowieka radzieckiego nad Ziemią i Kosmosem. Mnóstwo innych rzeczy niemożliwych. Co jednak można zrobić z mózgiem młodego, rozwijającego się człowieka. Tyłu uwierzyło i służyło!

Do szkolnego okresu w Zamościu muszę dodać coś, czego nie da się zapomnieć. Były to roboty „kołchozowe” zamiast lekcji. Kilka dniówek w roku w porze jesiennej. Wożono nas, dziewczęta otwartymi przyczepami za traktorem lub ciężarówkami do kartofli czy buraków. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Jarosławcu odległym o 15 km od Zamościa na wschód, miało wyjątkowo trudne warunki i ciężkie prace np. obdzieranie buraków z liści rękoma w szczerym polu przez 8 godzin z przerwą na posiłek. Łatwiej już wyłuskiwało się kaczany kukurydzy, a najtrudniejsze było zbieranie z pola ziemniaków za koparką. Ziemia tam ciężka, błotnista, przyczepna. Zawsze wypadła listopadowa aura, której błotne skutki dawało się pokonać tylko w specjalnych gumiakach i w spodniach. Takiej odzieży nie miałyśmy, więc marzłyśmy okropnie. Niszczyłyśmy i tak z trudem zdobyte buty. W nagrodę czekał nas w robotniczej stołówce gorący posiłek – gęsta zupa grochowa z różnymi dodatkami (wsadem mięsnym!) i z chlebem do woli. Nigdy w życiu takiego apetytu nie miałam, a smak wybornej grochówki na wędzonce do dzisiaj pamiętam.

Poznając trud pracy robotnika i chłopa lekko przenosiłyśmy się w świat artystyczny biorąc udział w szkolnych przedstawieniach na scenie „Stylowego” i w auli gimnazjum męskiego.

„Stylowy” to wspaniały gmach dawnego kościoła i klasztoru oo. franciszkanów z poł. XVII w., który przetrwał do 1817 r. mimo kasacji zakonu przez zaborcze władze Austrii, po czym został przeznaczony na magazyn wojskowy z tym, że zabudowania klasztorne i piękną, osiemnastowieczną dzwonnice rozebrano. Sam kościół przerobiono na koszary. Za wolnej Polski w 1918 r. pomieszczono w tym gmachu Sejmik Powiatowy i Dom Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej. Wnętrze środkowe – nawę kościoła adaptowano na kino-teatr. Tutaj też przed wojną znajdowało się pierwsze, małe muzeum regionalne, po wojnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w części zachodniej, a sala duża, przestronna z kuluarami, sceną i obubocznym *foyer* służyła społeczeństwu miasta na wszystkie imprezy kulturalne. Tak było do lat dziewięćdziesiątych, gdy o gmach upomnieli się bezprawnie usunięci oo. franciszkanie i go odzyskali. Dzisiaj jest tam kościół. Dla mnie był to szok. Raz byłam tam wewnątrz i nie mogłam się modlić. Przypomniała mi się pantomima J. Bayera „Wieszczka lalek” i „Laleczka z saskiej porcelany” Anny Dąbrowskiej reżyserowane przez p. Reginę Cieślakową. A w tytułowej roli Danusia Kuraho-Skraho, utalentowana wokalnie i choreograficznie, miękka jak guma i zręczna, jak primabalerina. Byłam markizą w różowej krynolinie i jasnej peruce (ja, czarna z

natury) z francuskimi loczkami, zupełnie odmieniona. Tańczyliśmy gawota i menueta w cztery pary, same dziewczęta. Moim chłopcem była Lalka (Irena) Szomańska nieco wyższa i smukła. „Ach, co za gracia, jaki wdzięk!” – śpiewał chór. „Kaida z nich inna tuualetta, parole d’honneur, to jak we śnie...”.

Normalnie „Stylowy” był kinem i chodziło się na wszystkie ciekawsze filmy oraz na obowiązkowe koncerty „Artosu” w ramach wychowania muzycznego. Pamiętam, kiedyś wyświetlano „Halkę” wg. Moniuszki i film ten był dozwolony od lat 18-tu. Żeby kupić bilety trzeba było okazać legitymację, kasa młodszym nie sprzedawała. Podrobiłyśmy więc legitymacje, na szczęście ważność ich już się kończyła. Nie wolno nam było chodzić na ostatni seans o 20-ej. Spotkana na ulicy młodzież mogła być legitymowana, a konsekwencje wynikające z odebrania legitymacji i oddania jej do Dyrekcji szkoły nie rokowały niczego miłego. Dzisiaj wydaje się to policyjnym rygorem, jednak nie było nam z tym źle, a ileż bezpieczniej. Szkoda, że zostało to zniweczone ułudą źle pojętego słowa „wolność”, „luz”. Zdeprawowano młodzież, dobre zamieniając złem.



Dwie maturzystki, Teresa Fabijańska (z lewej) z Lalką (Ireną) Szomańską w parku w Zamościu, 1951 r., fot. arch. autorki

Do szkoły chodziłam pieszo ok. 2 km w jedną stronę, ale ja tę drogę pokonywałam dwa lub trzy razy dziennie: na 8-mą, zawsze jednakowo, na lekcje i powrót ok. 14-ej do 15-ej na obiad zawsze rodzinny, zawsze przygotowany przez kochającą mamę i spożywany bez pośpiechu, w dobrej atmosferze przyjacielskiej rozmowy z rodzicami. Potem biegłam na popołudniowe zbiórki harcerskie, próby przedstawień lub zebrania Koła Zainteresowań, które ktoś mądrze wymyślił dla rozwoju intelektualnego bardziej indywidualnego, świetne *antidotum* na coraz brutalniej i wszechobecnie ingerującą w życie szkoły i poszczególnych uczennic politykę. Koła te miały różny profil, ale zdecydowanie dominował kierunek humanistyczny. Należałam do Koła Filozofów. Pierwszy referat, jaki sama wymyśliłam i napisałam, nosił tytuł „Duch grupy” – bardzo interesujące pojęcie *stricte* filozoficzne. Nieco później założyłam Koło Miłośników Słowackiego dla przeciwwagi założonemu w liceum męskim Kołu Miłośników Mickiewicza. Rozpoczęła się szlachetna rywalizacja, bo poprzez wiedzę wyczytaną i napisaną udowadnialiśmy, który z wieszczów był większy dla narodu polskiego. W ruch poszły opracowania prof. Kleinera, Chrzanowskiego i świeżo wydanego Jastruna. Długie cytaty z dzieł obu poetów służyły do podtrzymania stanowiska. Myślę, że wiele nam to dało, poszerzyło horyzonty. Wszystkie dzieła Juliusza Słowackiego były w domu, uratowane przez Witka przed spaleniem na stosie w Hrubieszowie na początku wojny. Tak Niemcy niszczyli polską kulturę. Cała Miejska Biblioteka poszła na stos.

Gdy przyszedł maj i czerwiec biegałam jeszcze na wieczorne nabożeństwa do św. Katarzyny. Skąd brałam tyle energii? – nie było czasu na odpoczynek, polegiwanie z książką w ręku. Tę zawsze brałam, gdy kładłam się spać i po paru stronicach słodko zasypiałam. Przez to bieganie kilometrami za mało czytałam literatury pięknej. Ledwie nadążałam z lekturami, a że te były dobrane tendencyjnie, odrzucałam je już z góry uważając, że nie są warte mojego czasu. „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Matka” Gorkiego, „Dziewczęta z Nowolipek”, „Grypa szaleje w Naprawie” – prześlizgnęły się przez mój umysł, jak dopust Boży. Nic z nich, prócz tytułów, nie pamiętam. Jedyne wolne dni w tygodniu to niedziela, którą zaczynałam mszą św. w kościele szkolnym, potem tradycyjny spacer ulicą Akademicką, spacer po parku z koleżankami, czasem i z kolegami. Pamiętkowe fotografowanie, dużo śmiechu, błyskotliwe, mądre rozmowy i powrót do domu na obiad. Po południu spotkania towarzyskie u koleżanek i wczesnym wieczorem byłam już w domu. Kiedy odrabiałam lekcje; nie pamiętam. A przecież dawałam korepetycje z języka polskiego i z francuskiego młodszym koleżankom. Nawet zdarzyła mi się nagroda od rodziców moich „uczennic” w postaci pieniędzy, słodczy, czy kwiatów. Te pieniądze były pierwszymi zarobionymi przeze mnie cierpliwością.

Matura jakoś przeszła. Pierwszy w życiu bal do świtu w upalny czerwiec 1951 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam nową

i najmodniejszą sukienkę z białej żorżety w drobne, czerwone kropki. Przedłużony, dopasowany karczek, wycięcie w *caro*, dół szeroki, marszczony na biodrach z wypuszczoną riuszką, małe bufki. Czułam się świetnie, bawiłam nieźle i o wschodzie słońca odprowadzana przez swojego „obtupywacza” Rucia – Henryka Jakubca, podziwiając zjawiskowe o tej porze dnia niebo, szłam ku nowej, wierzyłam, że świetlanej przyszłości.

Chciałam studiować geografię na lubelskim UMCS-ie (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Wypełniłam papiery, oddałam do sekretariatu szkoły, skąd miały być przesłane na uniwersytet. Taka wtedy była procedura. Sądzę, że jednak nigdy nie ujrzały dziennego światła, a tym bardziej w Lublinie. Miałam przecież opinię „czarnej reakcji” i twierdzy nie do zdobycia. I to była prawda. Nawet nie próbowano mnie podchodzić, co czyniono z innymi koleżankami, które nie były zetempówkami. Nie byłam dla nich nic warta. Wiedziałam o tym, czułam to i postanowiłam iść na historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Była tam już Ela, moja siostra na polonistyce, właśnie kończyła studia i był brat Julek na prawie. W ten sposób zagrałam na nosie Dance T., od której opinii składanej na piśmie zależał los nie jednej z nas. Wyobrażam sobie jaką opinię miałam ja, jej była przyjaciółka, z którą rozstała się z powodu politycznego. Nigdy nie zapomnę tego dramatu, jaki rozegrał się

między nami w pewien zimowy dzień po feriach świątecznych, gdy zziębnięte na kość podpierałyśmy gorący, ogromny piec na korytarzu szkolnym, przeraźliwie ponurym, jakby zaplanowaną scenerią do naszej rozmowy. Danka właśnie wróciła z obozu ZMP z Lublina i z entuzjazmem, na jaki tylko ją było stać, opowiadała o wspaniałych ludziach – ideowcach komunistycznych, którzy przebudują świat na lepszy, bez religii, bez księży i kościołów, bo to jest „opium dla ludu”. Życzyła mi, abym przejrzała na oczy i poszła w jej ślady. Ona chce jechać na studia do Moskwy i zostać wielkim człowiekiem. A ja płacząc, szlochając powiedziałam tylko jedno zdanie: Danko, to koniec naszej przyjaźni, nie będę z tobą siedzieć w jednej ławce ani jednej chwili dłużej. I tak się stało już na zawsze.

Co stało się z tą śliczną, hożą polską dziewczyną, niezwykle uzdolnioną? – A no zdała świetnie maturę, wyjechała do Moskwy. Studiowała chemię na Uniwersytecie Łomonosowa. Tam zakochała się w koledze, Rosjaninie i musiała się z nim rozstać, ponieważ Rosjanom nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, a może tylko z Polkami. Tego nie wiem dokładnie. W każdym razie przeżyła dramat i rozczarowanie, bo chłopiec rozpułnął się jak we mgle. Przeżyła wstrząs, gdy zmarł jej bóg Stalin. A co musiało się dziać w jej ideologicznym wnętrzu, gdy za chwilę okazało się, że to największy zbrodniarz w całym, komunistycznym molochu, jakim był wtedy ZSRR. Wyrzucono go z mauzoleum – przepięknego, modernistycznego, marmurowego grobowca Leni-

na, pod którym stały najdłuższe kolejki świata, by przez moment spojrzeć na oblicze tego, który świat przewrócił do góry nogami. Stalin został początkowo umieszczony obok Lenina i było dwóch bogów do oglądania, ale po odbrązowieniu pochowano go cichutko pod murem Kremla pod czarną, granitową płytą, na której napisano jedynie: Josip Wisarionowicz Stalin i lata życia. Tyle. I nie ma już tutaj ogonka chętnych do oddania czci. Lenin wiecznie żywy.

Co ta Danka musiała tam przeżyć, ona taka płonąca żagiew. Nigdy nie zazdrościłam jej sukcesów w szkole, chociaż trochę rywalizowałyśmy wcześniej, za czasów harcerskich, gdy była gorliwą katoliczką, żeby nie powiedzieć bigotką, i zapaloną harcerką. Wszak składałyśmy przyrzeczenie harcerskie na Boga i honor Ojczyzny. No, ale jeśli się zamienia Boga na bóstwo, to w środku chyba wali się wszystko. Współczuję jej .

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

*

Poprzednie części wspomnień:

Pierwsze lata po wojnie - Academia Zamoscensis

Powrót ojca z niewoli

Zobacz też:

Historia w karetach zaklęta

Polskie siedziby
rodzinne. Moroczyn.



Ruiny zespołu dworskiego rodziny Chrzanowskich, herbu Poraj, z XIX w. w Moroczynie, pow. Hrubieszów. Dwór był parterowy, murowany. W latach 1900-1905 przebudowano go, nadając mu nową szatę zewnętrzną: przykryto czterospadowym dachem i otoczono rzadko stosowaną, niezwykle ozdobną attyką balustradową. Na froncie dominował portyk o czterech kolumnach (zachowały się tylko trzy). W czasie II wojny światowej ograbiony z mebli i dzieł sztuki. W pobliżu był park podworski ze stawem, fot. Ar2rek, wikimedia commons

Niedawno, szukając informacji do artykułu, sięgnęłam do swojego „kuferka” z różnymi papierami z Polski i znalazłam list do mnie, z czasów, kiedy byłam jeszcze studentką, od prof. Tadeusza Chrzanowskiego, wybitnego

historyka sztuki, przez wiele lat związanego z KUL-em, wraz z dołączonym do niego tekstem o rodzinnym Moroczynie. Przeczytałam go z uwagą, nie pamiętałam go. Dwór polski stanowi ważny element polskiej kultury i tradycji, który wpisuje się w polską obyczajowość. Niestety przez wiele lat obiekty dworskie, pozbawione gospodarza popadały w ruinę, a niektóre uległy całkowitemu zniszczeniu. I to nie działo się tylko podczas działań wojennych, ale i wiele lat po wojnie, za rządów komunistycznych, a także potem, niemalże na naszych oczach. Uratujmy więc choć niematerialną część naszej historii - pamięć. (red. Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Tadeusz Chrzanowski (1926-2006)

Nie urodziłem się w tym dworze, o którym chcę mówić, bowiem urodziłem się w Krakowie, co mi co nieco w życiu pomogło, ale i zaszkodziło niemało. W rzeczonym dworze mieszkałem niezbyt długo – w sumie nie całe 17 lat. Mój ojciec też się tam nie urodził, ani przez całe życie przemieszkował, bowiem doszedłszy do pełnoletności i wstąpiwszy w związki małżeńskie osiadł w innym zupełnie dworze, a nawet poniekąd pałacu, który nabył mój dziad. Tylko że potem przyszła pierwsza wojna światowa i taktyka spalonej ziemi, zastosowana przez cofającą się armię carską, więc ów pałac w Dorohusku nad Bugiem został spalony, a gdy po wojennej tułaczce rodzina wreszcie powróciła w strony

rodzinne, to nie było możliwości i środków na odbudowę. Ruiny pałacu i folwark ojciec sprzedał, a osiadł w Moroczynie, bowiem ten z wojennych tarapatów jakimś cudem ocalał.

Nie będę więc mówił o gnieździe rodzinnym, tylko o domu, folwarku, o budynkach, drzewach, założeniach ogrodowych, o stawach i łąkach, o drogach i tak w ogóle o wszystkim, co pamiętam i co mi się we wspomnieniach układa w pewną całość tak, już dziś niewiarygodną, jakby istniała na kartach XIX-wiecznych pamiątek, a nie w wieku XX, niemal w samym środku ówczesnej II Rzeczypospolitej. Więc chociaż nie o gnieździe, ale o czymś prastarym i prehistorycznym nieomal, a jednocześnie tak realnym, to we śnie i na jawie potrafię rozpoznać każdy zakos ścieżki, dziuplę i furtkę. Czyli, że będę mówił z nutą sentymentu i sądzę, że tak mi mówić wolno, jakkolwiek tamten świat uważam za całkowicie miniony i nie chciałbym ani nie potrafiłbym już doń na jawie powrócić. Po wojnie raz jeden próbowałem – nie tyle powrotu, co konfrontacji. I tego mi starczy na resztę dni moich. Są sprawy nieodwracalne i nie trzeba z tego powodu ani patetyzować, ani rozpaczać. Ale wolno sobie pozwolić na odrobinę sentymentu, który stoi poza osądami i poza rzeczywistością. A więc na sentyment „sine ira et studio”.

To „studio” nie jest zresztą w tym konkretnym przypadku możliwe. Kiedy 20 czy 21 września 1939 r. w wyniku nagłej

decyzji rodziców opuściliśmy nocą dom, w pośpiechu i rozgardiaszu zaginęły papiery rodzinne – dokumenty i zapisy. Zostałem bez historii rodziny, bowiem ojca nie zdołałem już nigdy skłonić do jakichkolwiek prób rekonstrukcji. Byłaby to zresztą rekonstrukcja wątpliwa, gdyż pamięciowa. A więc jedyne co wiem, to fakt, że moja rodzina „po mieczu” była w tych okolicach zasiedziała, ale właśnie nie w tym domu, gdzie spędziłem dzieciństwo i pierwszą młodość, ale bardziej na południe – w rejonie Kryłowa. Początkowo szlachta średnio-zamożna, zaczęła robić w ubiegłym stuleciu karierę ekonomiczną. Apogeum osiągnął dziadek Edward, którego pamiętam już tylko z wielkiego, zniszczonego w 1939 r. portretu i z kilku zdjęć. Spogląda z nich szczupły pan o ostrych rysach i spokojnym, ale niewesołym spojrzeniu. Był ponoć w miarę surowy, ale dzieci kochały i jego, i matkę – Marię z Kicińskich, z domieszką uwielbienia. Był człowiekiem solidnym, dobrym gospodarzem i miał umiejętność powiększania dóbr. Skupił w swych rękach przed I wojną światową bardzo rozległy klucz, do czego przyczyniły się też bezpotomne śmierci jego braci i dalszych krewnych. I właśnie dom mego dzieciństwa należał do mego stryjecznego dziada, który – nie pozostawivszy spadkobierców zapisał go bratu. Oczywiście po I wojnie światowej nastąpiły radykalne zmiany w stanie posiadania: trzeba było sprzedać część wyniszczonych folwarków, a poza tym schedę rozdzielić między jedyne go syna – mego ojca – i jego dwie siostry. Ale i tak nie było to mało, skoro w rękach ojca pozostawały – poza domem i folwarkiem

Moroczyn, jeszcze i dalsze folwarki: Teptiuków, Ciołki, Kobło, Kopywłów, Siewrszczów, nie licząc drobniejszych.

O samym Moroczynie też niemal niczego nie wiem z dawniejszych dziejów, poza tym, że był to niegdyś folwark klucza starostwa hrubieszowskiego, czy jak je niegdyś nazywano – rubieszowskiego. Dwór, bo był to duży dwór, chociaż miejscowi mówili „pałac”, powstał w swym obecnie wciąż jeszcze wegetującym kształcie na przełomie XIX i XX wieku. Działał wówczas w tych okolicach architekt Stanisław Czachórski, brat znanego malarza – portrecisty strojnych dam i on to miał dokonać przebudowy. Tak bowiem mówiono w domu: przebudowy i za tym twierdzeniem mogłyby przemawiać bardzo grube mury korpusu głównego, być może pozostałość po dawniejszej budowli. Bowiem taka właśnie starsza budowla istnieć musiała, skoro w otoczeniu domu były budynki zdecydowanie od niego starsze, wyznaczające formę założenia, które musiało istnieć od kilkudziesięciu co najmniej lat, może nawet od stulecia XVIII. W każdym razie to wszystko co mogę powiedzieć o historii. Bardzo tego niewiele, ale proszę mi wierzyć, że historia jest rośliną bardzo kruchą i zanika nieodwracalnie przy każdej okazji – zarówno katastrof, jak i niedbałości.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław nowosad, wikimedia commons

Trzeba jednak bliżej umiejscowić ów dom i jego otoczenie. Położony był, jak to z poprzednich uwag wynikało, w okolicy Hrubieszowa, pół kilometra oddalony od szosy i zarazem od wiecznego traktu, który z tego miasta prowadził ku przeprawie na Bugu, pod Uściługiem, a stamtąd wiódł w głąb Wołynia – na Włodzimierz – Kowel – Krzemieniec. Okolice Hrubieszowa słynne były z niezwykle urodzajnej gleby – tutejsze czarnoziemy rodziły, jak to się powiadało – same, ale w czas przedwiosennych i jesiennych słońc przeobrażały się w nieprzebytą, gęstą i lepkać maź, a w susze wzniecały nieopisane tumany kurzu. Krajobraz był rozległy i nieco nostalgiczny – nie było większych wzniesień tylko bardzo powolne, cierpliwe falowanie. Lasów prawie nie było, parodie lasków, bo ziemia była za dobra by tu drzewa

sadzić; lasy zaczynały się dopiero na pograniczu z chełmskim powiatem. O dwa kilometry od domu płynął Bug. Nad tym Bugiem, w nożycach dopływu jego – Huczwy – wznosiła się „góra zamkowa” – teren powojennych rozległych badań, które starały się zlokalizować nieco przedtem mityczne „grody Czerwieńskie”. Ten pod Gródkiem nazywał się „Wołyń” wspomina o nim Długosz. Natomiast na nadbużnych łąkach w pobliżu Gródka wznosił się stożkowaty kopiec – kurhan, który nosił malowniczą nazwę „księżycowej mogiły”, przy czym nie chodziło o księżyc, ale o księcia i nazwa to miała cechy prawdopodobieństwa. Takich kurhanów było zresztą w okolicy kilka.

Droga, która od szosy odbijała w stronę Moroczyna, biegła potem dalej na Kobło, Kopyłów – ku północy. Stał przy niej samotny budynek i wyznaczał początek założenia dworskiego. Ten budynek był bowiem kuźnią i od niego rozpoczynała się aleja dojazdowa, prowadząca do domu i folwarku. Wieś Moroczyn, bardzo mała, położona była w pewnej jakby izolacji od dworu, oddzielona od folwarku strumykiem i pasem łąk. Pomiedzy dworem a wsią stosunki były niezbyt ożywione, przychodziły stamtąd dziewczyny „na akord” popracować w ogrodzie w okresie żniwnych spiętrzeń, czasem podnajmowało się gospodarzy ze sprzężajem, ale to i wszystko. Stosunki były pół-oficjalne, nie zanadto przyjazne (o ojcu mówiono „proklatyj chrien”), ale i nie wrogie. Bójki pomiędzy synami gospodarzy a synami fornali należały do pewnego rytuału i nie świadczyły o jakiejś wzbierającej agresji.

Na wsi mieszkali zresztą nieliczni prawosławni, większość stanowili katolicy, a wśród mieszkańców folwarku prawosławni stanowili zdecydowaną mniejszość. Bo jednak – im bliższa była katastrofa tamtego świata – tym bardziej wzbierały nacjonalistyczne nienawiści, a świadomość narodowa budowała się na wyznaniu.

Tak więc założenie dworsko-folwarczne było całością oddzielną, odrębną i – stwierdzam tu obiektywnie – zaplanowaną logicznie, a efektownie, w oparciu o tradycyjnie osiowy układ, ale nie trzymając się niewolniczo praw symetrii i budując niejako odrębne elementy nanizane na ową oś.

Jak już wspomniałem od frontu była nią aleja brzostowa (w tamtej epoce brzost był jeszcze w naszym kraju drzewem popularnym – dziś uległ wytruciu i wyniszczeniu). Tak więc od kuźni już widziało się w perspektywie bramę, a przez nią kolumnowy portyk domu. Po lewej było założenie folwarczne, po prawej – osobno – stał spichlerz. Ale na razie główna uwaga skupiała się na temacie centralnym: bramie i dworze. Jedno i drugie posiadało cechy barokowe, jak mi się zdaje dość zmyślnie kombinujące eklektyczne formy, które się wówczas w tej części kraju rozpowszechniły, nie bez wpływu architektury rządowej, ale w tym wypadku wytworzyły oryginalną i dość efektowną całość. Bowiem ani brama, ani dom nie były po prostu neobarokowe, ani eklektyczno-secesyjne, ani nawet nie

zapowiadały tendencji, które miały dopiero stworzyć w przyszłości „styl dworkowy”. Brama była trójdzielna i nie była bramą do „zamykania”, ale właśnie do „otwierania” – nie stanowiła bowiem żadnej przeszkody ze swymi sztukietowo i ażurowo ukształtowanymi wrotami, których zresztą, nigdy nie zamykano, podobnie jak dwóch furt znajdujących się po bokach. Brama spełniała szczególny efekt w dni pogodne wiosenne lub letnie, kiedy to słoneczny kontrast sprawia, że zieleń ciemnieje głęboko, a biel tynku staje się tym migotliwsza. Wówczas brama akcentowała się wyraziście i stwarzała wraz z krótką alejką prowadzącą, od niej ku podjazdowi, scenograficzną obudowę perspektywy na kolumny akcentujące front domu.

Ten dom był właściwie parterowy, chociaż miał pomieszczenia na piętrze, częściowo typu mansardowego, a częściowo w przyczółkowych szczytach bocznych. Cały środek wypełniał obszerny strych. Tak więc wszystkie ważne pomieszczenia znajdowały się na parterze, a na piętrze były tylko mniej ważne, ale za to bardziej intymne pokoje: gościnne, a także dla młodzieży – właśnie moje dzieciństwo upłynęło w jednym z nich, tym od południa.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław Nowosad, Wikimedia Commons

Tak więc korpus stanowił obszerny, prostokąt, przedłużony jeszcze dodatkowo dwoma aneksami dobudowanymi (chyba wtórnie, ale jeszcze nie za mojej pamięci) do skrajnych ścian szczytowych. W tej północnej dobudówce były kuchnia i pachnąca niezwykle smakowitościami spiżarnia, w południowej mieściła się tak zwana kancelaria, gdzie ojciec przyjmował interesantów, a także dwie łazienki, bowiem dom posiadał wodę bieżącą. Bryłę akcentował osiowo umieszczony portyk, a raczej taras wsparty na czterech masywnych kolumnach, obwiedziony tralkową drewnianą balustradą, a dostępny ze strychu. Nie mówiło się nigdy portyk czy kolumnada, mówiło się „podjazd”, bowiem przewidziany był do podjeżdżania

wehikułów pod ową tarasową osłonę, ale w rzeczywistości tego nie stosowano: stały tam ławeczki i bujające fotele – leżaki, natomiast po bokach były dwa krótkie lekko rozchylające się murki zakończone drewnianymi, słupami, na których rosnące dzikie wino wytworzyło z biegiem lat gęsty, wróblami nadziewany gąszcz.

Proste, nawiązujące do uszatyh obramienia okien, kostkowe gzymsy, a przede wszystkim wystawki piętra, potraktowane najozdobniej, ze spływami, słupkami i segmentowymi przyczółkami, określały formę tej architektury, która była w sposób oczywisty prowincjonalna i równie oczywiście oryginalna w owej swojskości. Jestem przekonany, że ani architekt nie reprezentował wysublimowanej tendencji nowatorskiej, ani mecenas tego nie chciał, ale ostatecznie o formie zdecydowała ręka i „wiedza” lokalnego muratora, który tak stawiał, jak potrafił i tak zdobił, jak życzył sobie tego on sam i jego mocodawca.

Łączyła się tu w sposób naturalny tradycja z pewnymi elementami nowatorskimi: ów taras wspierał się na stropach Kleina, ale dach był nadal, jak przez cały miniony wiek, dachem naczółkowym. I zarazem to śmieszna tendencja zdobnicza: na owym dachu, pomiędzy wystawkami wstawione były odcinki balustrady, analogicznej jak na tarasie. Pamiętam jak stolarz, który miał swą pracownię na folwarku, toczył te tralki na tokarni,

podobnie jak toczył na niej dzwona do kół wozów.

Od strony ogrodowej był także taras, ale z uwagi na spadek terenu, był na wysokości parteru i schodził w dół monumentalnymi schodami, w które – pośrodku – wstępował półkolistym „belwederem”. Widok stamtąd był bowiem ładny: w tym płaskim terenie tu jedynie występował nieco wyrazistszy stok, opadający ku stawowi, który był zasilany przez potok czy też bezimienną rzeczkę przyływającą z łąk od strony Dziekanowa. Za tym stawem wznosiła się ściana parku, który rozpadał się na dwie strefy: pierwsza – leżąca bezpośrednio za stawem – była regularnym założeniem przede wszystkim grabowym z centralną aleją główną i równoległym do niej, przebiegającym wzdłuż północnego skraju strzyżonym szpalerem. Druga część, znacznie szersza, była pozostałością niegdysiejszego lasu i obejmowała kilka bardzo sędziwych, imponujących okazów dębów. W obramieniu – od strony stawu, było nieco brzoź i wierzb, od południa świerkowa ściana. W prostokącie między bliższą i dalszą częścią parku mieścił się ogród warzywny od południa, a od północy stał samotny, mieszkalny budynek, zwany – nie wiedzieć czemu – „Majdanem”. Czyżby wyznaczał inne, dawniejsze położenie folwarku? Był murowany, masywny, podpiwniczony i nakryty, jak niemal wszystkie tu budynki, gontowym dachem naczółkowym. Wyglądał bardzo sędziwie, a jego osamotnienie było dość niezwykle. Ale pamiętam go pamięcią chłopca: gdy tam byłem w

latach sześćdziesiątych po „Majdanie” pozostało tylko kłębowski pokrzyw.

Przejście z domu do parku dwiema obrzeżonymi drzewami alejkami, umożliwiały – po obu krańcach – dwa mostki, zwane popularnie „garbatymi”, Jakież przyćmione echa japońskich tendencji przejmowanych przez Europę w sztuce ogrodów, łączyły się harmonijnie z fantazją cieśli, którzy balustrady wykonywali z nie okorowanych gałęzi brzozowych.

To była reprezentacyjno-widokowa część założenia, ku południowi przedłużała się częściowo odrzewionym kanałem łączącym staw przed domem z drugim stawem, który był rezerwuarem ryb, energii dla stojącego tu młyna, z turbiną wytwarzającą energię elektryczną, a także – dzięki gliniastej konsystencji dna – ulubionym miejscem kąpieli w dni upalne. Obok tego stawu była wyjątkowo wysoka i gwałtownie urywająca się, również gliniasta szkarpa, w której istniała wyrwa, a w niej jakieś metalowe resztki i gruz ceglany. Nazywano to miejsce „starą cegielnią” i sądzę, że funkcjonowała ona w czasie „fabryki” dworu, bowiem przy wszystkich unowocześnieniach, przy tej bieżącej wodzie i elektryczności, wszystko tu miało charakter zamkniętej samowystarczającej gospodarki. Gdy trzeba było zmieniać pokrycia dachowe, to na jakiś czas instalował się warsztat strugania gontów i wytwarzano je wówczas masowo i „na zapas”. Czasowo pracowały też warsztaty

rymarski i powroźniczy, stale natomiast stolarski, kuźnia, młyn. Tkano też płótno lniane na worki i letni przyodziewek, a długie pasma rozkładano w dni słoneczne na łące i na trawniku nad stawem, gdzie się w słońcu bieleły.

Powróćmy jednak do dworu. Towarzyszyły mu bezpośrednio zabudowania o częściowo gospodarczym przeznaczeniu. Od południa stała oficyna, która była niewątpliwie starsza od dworu w jego ostatecznej „czachórskiej” formie. Połączenie skromnych cech klasycystycznych i neogotyckich było charakterystyczne na tych terenach dla połowy XIX wieku i wówczas chyba zbudowano ten niemal kwadratowy, piętrowy budynek. Od frontu był tu wysunięty okap, osłaniający schody i podest prowadzący na to piętro, na którym były letnie pokoje gościnne. Na parterze były pomieszczenia warsztatowe – rymarski np., a od tyłu do oficyny przylegał parterowy, wydłużony budynek tzw. „piekarni”, mieszczący rzeczywiście wielki gliniany piec piekarniczy, gdzie białe i pulchne bochny złożone na liściach kapuścianych nabierały złocistej, lekko spękanej faktury. Tu też – na Święta, zwłaszcza Wielkanocne, wykonywano rozmaite smakołyki, a najsilniej w pamięci oczu i podniebienia utkwił mi proces wytwarzania „sękacza”, który rodził się na rożnie z kucharskiego polewania naprzemian żółtawym ciastem mlecznym, to znów brązowym – czekoladowym.

Pomiędzy oficyną a dworem wytworzył się niewielki placyk,

pośrodku którego był zamontowany kierat. Stróż – „dziadek” Dąbrowski przy pomocy starego, ślepego wałacha codziennie napełniał przy pomocy tego kieratu i pompy zbiornik na wodę na strychu. Gdy ten zbiornik był już pełen, woda zaczynała wyciekać przez jedną z rynien i tworzyła malownicze kałuże, a że „dziadek” był głuchy, więc trzeba było bardzo głośno wołać „dziaaaaadku”, by przestał zataczać wraz z wałachem cierpliwe kręgi.

Za oficyną były jeszcze dalsze budynki gospodarcze: sporty, murowany, zwany drewutnią, królestwo tegoż „dziadka” Dąbrowskiego, ale w gruncie rzeczy było to magazynowe zaplecze szklarni inspektów, którą wokół otaczał mur – nie tyle przed złodziejami, co przed zimnymi humorami aury. To było niżej, przy wejściu do kanału. Wyżej był drewniany kwadratowy budynek bez okien, za to z wysokim namiotowym dachem. Była to tzw. „lodownia”, osłaniająca dość głęboki dół, który się zimą mościło słomą, potem układało cięte na stawie młyńskim kostki lodu, które nakryte grubą kołdrą słomianą, trwały aż do późnej jesieni, pozwalając na chłodzenie różnych artykułów żywnościowych, a w upalne niedziele na wyrabianie lodów. Pomiedzy drewutnią a lodownią była jeszcze spora w szkarpie wydrążona i obmurowana piwnica służąca do przechowywania ziemniaków. A dalej, za płotem, rozciągał się sad i nigdy mi już gruszki, a zwłaszcza jabłka nie smakowały tak bardzo jak te, które sobie tam wedle gustu i pory dobierałem.

Jak wspomniałem od bramy do dworu wiodła kręta alejka przeobrażająca się w kolisty trawnik z kępami róż. Tam, gdzie alejka otwierała się w ów kolisty podjazd, stała maciupenka i skromna domkowa kapliczka, przed którą w majowe wieczory mama intonowała, a kobiety z folwarku wyciągały piskliwymi głosami pieśni i „litanije”.



Ruiny dworu rodziny Chrzanowskich w Moroczynie, fot.

Przemysław nowosad, wikimedia commons

Na lewo, poza kurtyną drzew, stał parterowy ale na wysokich piwnicach murowany spichlerz, mieszczący drugą kondygnację

strychową, w obszernym, oczywiście naczółkowym i gontowym dachu. Wydawał się bardzo starożytny i bardzo solidny, ale i on się zawalił. Pod domem nie było właściwie piwnic, tylko „nowoczesne” sutereny o stropach Kleina. Pod spichrzem piwnice były rzeczywiście przepastne, sklepione kolebkowo, pachnące jabłkami i przechowywanymi tu na zimę warzywami.

Na prawo od podjazdu rozciągał się folwark. Najpierw, zaraz za bramą, wzdłuż drogi stały dwa drewniane czworaki, gdzie mieszkały rodziny fornali. Przed wojną ojciec rozpoczął budowę nowego czworaku, ceglanego, więc jeden z tamtych zburzono. Ciekawostka: temu nowemu nadano formę całkowicie tradycyjną – miał podziały ramowe i ów nieodzowny dach naczółkowy, a że gontem kryty to oczywiste – był bowiem wówczas pokryciem najtańszym, produkowanym we własnym zakresie. Właściwy dziedziniec rozciągał się obszernie w bok od bramy. U wejścia na słupie wisiał stary lemiesz, na którym gumieny odstukiwał godziny pracy, a w zakolu, bliżej domu, znajdowała się studnia, drewniana – łącznie z ocembrowaniem i nakryta dachem namiotowym na słupach, który osłaniał kołowrót obracany wielkim kołem. Obok było koryto drążone w połowie pnia dość sporego drzewa, bo tu pojono bydło i konie.

Dziedziniec zamykał parawanowo mur uformowany rytmicznie przysadzistymi półkolumnami i mieszczącymi pośrodku bramę utworzoną z dwu cylindrycznych, ogzymsowanych słupów

zwieńczonych piramidkami. Mur ten spinał dwa budynki: stajni od wschodu i obory od zachodu – długich murowanych budynków z podziałami ramowymi i gontowymi dachami, z koślawymi wystawkami. Wewnętrzne gumno, bezcenne składowisko gnojówki i nawozu, zamykał wreszcie od południa budynek stodoły.

I – poza pomniejszych budyneczkami – kurników, chlewów, wiat itd. nie było już nic więcej, tylko ta rozległa, nostalgiczna panorama pól. Uprawiało się je tradycyjnie, przede wszystkim siłą koni, stąd tak obszerne stajnie, a ponadto majątek specjalizował się w hodowli koni dla wojska – tak zwanych remontów. Ojciec próbował mechanizować rolnictwo, ale możliwości były ograniczone ze względu na właściwości owego hrubieszowskiego czarnoziem: traktor mógł tu pracować tylko w naprawdę suche dni. W pola, do sąsiednich folwarków, jeździło się też przeważnie pojazdami konnymi: bryczką, dwukółką, a gdy było sucho także samochodem – dość już starożytną, ale niezawodną „Chevroletą”. Na wyjazdy do Hrubieszowa, jeśli były „bardziej paradne”, wytaczano z wozowni wolant lub – gdy zagrażał deszcz – powóz z „budą”. W tej wozowni stała jeszcze kareta, ale nie pamiętam by się nią kiedykolwiek posługiwano. Natomiast „park samochodowy” dopełniał potężnych rozmiarów samochód marki Deimler, który służył do dalszych wypraw. Ale te „fumy” nieskutkowały natychmiastowo – kiedy na drogach robiło się błotniście, trzeba było pocziwego Deimlera dociągać

te pół kilometra do szosy koźmi, w związku z czym Europa zaczynała się dopiero w Teptiukowie.

I to byłoby wszystko, co chciałem opowiedzieć i pokazać, celem moim było bowiem podjęcie próby pokazania nie tyle form architektonicznych, ale „sposobu istnienia” folwarku w okolicy, która jeszcze wcale nie należała do Kresów, ale z naszego punktu widzenia zalega już na kresach dającej się pamięciowo dosięgnąć historii. Chciałem pokazać rozmaite funkcje i system owej gospodarki zamkniętej, która z folwarku tworzyła jednostkę społecznie i ekonomicznie w pewnym sensie zamkniętą. W dawnej polszczyźnie określenie „dwór” stosowano częściej do tej całości niż do mieszkalnego budynku, który zwano „domem pańskim”. I ta terminologia ujawnia specyficzność tej sielskiej ontologii, która dawną Rzeczypospolitą usiała niezliczonymi gwiazdozbiorami wielkich i małych sąsiedztw. Moroczyn z mej pamięci to już ostatnie echo tej struktury stanowo-gospodarczej. Aże – poza dworem już nic tam z niegdysiejszego zespołu zabudowy nie zostało, więc wydało mi się pożytecznym zrekonstruowanie tej minionej całości. Dodatkowo mogłem przy tym zadość uczynić własnym wspomnieniom i to już moja osobista korzyść.

*

Tadeusz Chrzanowski - historyk sztuki, niestrudzony

**działacz na polu opieki nad zabytkami kultury, eseista,
poeta, fotografik.**

Zobacz też:

Polskie dwory i pałace

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Dwór, w którym zaklęta jest historia

Karp królewski z Bełdowa

Serce Paderewskiego



Ignacy Jan Paderewski przemawia do tłumów, fot. ze zbiorów Culver Pictures, Inc, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Ignacy Jan Paderewski zmarł 29 czerwca 1941 r. w Nowym

Jorku. Właśnie minęła 80-ta rocznica jego śmierci.

Danuta Piątkowska (*Nowy Jork*)

Cieszyłem się swoim powodzeniem. (...) Wiedziałem też, że już pokochałem Amerykę.

Ignacy J. Paderewski, „Pamiętniki”, spisała Mary Lawton, Kraków 1967 r.

*

Po raz ostatni Ignacy Jan Paderewski przyjechał do Ameryki 6 listopada 1940 r. Zatrzymał się, jak zwykle, w hotelu Gotham (przy 5 Alei i 55 Ulicy; dzisiaj nie istnieje), jednak kilka tygodni później przeniósł się do tańszego Buckingham przy 6 Alei i 57 Ulicy. Brakowało pieniędzy.

Pomimo wieku Ignacy Paderewski był bardzo aktywny. Starał się przekonać Amerykanów, by pośpieszyli z wsparciem dla Brytyjczyków. Radiowa sieć Columbia przekazała ten apel 8 grudnia. W trakcie audyencji u prezydenta Franklina D. Roosevelta prosił o interwencję w sprawie Polaków we Francji pod rządami Vichy. Już w listopadzie polonijna prasa weterańska opublikowała odezwę Paderewskiego Do Wychodźstwa, w której

przedstawiał powody swego przyjazdu i nawoływał do ofiarnej pomocy dla Polski.

Uporczywe wysiłki propagandowe i dyplomatyczne przynosiły niewspółmiernie mizerne efekty. W Palm Beach na Florydzie, dokąd Ignacy J. Paderewski wyjechał w styczniu 1941 r., uciekając przed przykrą nowojorską zimą, spotkał się z gen. Władysławem Sikorskim i Stanisławem Mikołajczykiem. Spędzili razem święta wielkanocne, dyskutując nad sposobami uzyskania dla Polski większej pomocy od Ameryki. Sytuacja polityczna komplikowała się jednak. Możliwości sterowania jej rozwojem były mniej niż nikłe w porównaniu do okresu I wojny światowej, kiedy autorytet Paderewskiego sprawił, że dla sprawy polskiej udało mu się pozyskać szereg wpływowych osobistości, wśród nich doradcę prezydenta, płk. Edwarda House'a, a także prezydenta Thomasa W. Wilsona.

Autorytet z tamtych lat i legenda wielkiego wirtuoza nie wystarczały, by sterować zawiłymi meandrami polityki lat 40.

W maju 1941 r. Ignacy J. Paderewski powrócił do Nowego Jorku. Ciągłe czynny wyraźnie tracił jednak siły. Jego siostra Antonina Wilkońska, zaprzyjaźnieni Sylwin i Aniela Strakaczowie odradzali mu wyjazd do Oak Ridge, NJ, gdzie 22 czerwca miał spotkać się z „błękitnymi weteranami”. Czerwiec owego roku był bardzo upalny. Nieprzyjazne, spowite gorącem i wilgocią miasto

zabierało resztki energii starego człowieka. Tymczasem dzień wcześniej Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Całą noc Paderewski w towarzystwie Strakacza, wtedy jego sekretarza i konsula polskiego w Nowym Jorku, słuchał komunikatów radiowych. Następnego dnia, w niedzielę pojechał do Oak Ridge. Wygłosił długą, płomienną mowę.

Świadkiem pamiętnego, nasyconego patriotyzmem, spotkania Paderewskiego z Polonią na polance Zjednoczenia Polsko Narodowego w Oak Ridge był Joseph C. Radzik, policjant polskiego pochodzenia w nowojorskiej policji (NYPD – New York Police Department), wówczas pełniący służbę ochrony Paderewskiego. W liście skierowanym do o. Lucjusza Tyrasińskiego 29 czerwca 1986 r., dniu dedykacji urny z sercem pianisty w Amerykańskiej Częstochowie, wspomniał tamto wydarzenie jako jedno z największych w jego życiu. – *To know him, or to know about him, was to love him. As an American of Polish descent he was a great inspiration to me with regard to my Polish heritage* – refleksyjnie konstatował Joseph C. Radzik. Stary Mistrz wzruszał polskie serca drżące w zamerykanizowanych generacjach dawnych imigrantów. Te pokolenia utożsamiały się, respektując swoje dziedzictwo, z Ameryką, ale „błękitni weterani” należeli do przeszłości. W zmienionej konstelacji politycznej lat 40. nie mogli być głównymi bohaterami.

Spiekota i emocje towarzyszące spotkaniu na polance w Oak Ridge, zimny napój wypity dla ochłodzenia się, spowodowały katastrofalne następstwa. Rozwinęło się zapalenie płuc. Tydzień trwała nierówna walka. Ignacy Jan Paderewski zmarł w kraju, który pokochał odwzajemnioną miłością, w swoim pokoju hotelowym o godzinie 11:00 rano w niedzielę 29 czerwca 1941 r. Pochowany został z honorami wojskowymi, za zgodą prezydenta Franklina D. Roosevelta, na amerykańskim Cmentarzu Narodowym w Arlington. Tymczasowa mogiła znajdowała się nieopodal Mausoleum Grobu Nieznanego Żołnierza.





(NEWS foto)

Great Tribute . . .

to a great man. An honor guard of American soldiers stands at attention before St. Patrick's Cathedral as priests watch Polish veterans carry the casket of Ignace Paderewski, 80, patriot and musician, to a caisson. Body was taken to Pennsylvania Station, placed on a train for Washington for burial in the National Cemetery.

Pierwsza strona nowojorskiej gazety „Sunday News” z 13 lipca 1941 r.. Pogrzeb Ignacego Jana Paderewskiego. Kondukt żałobyny wychodzi z Katedry Św. Patryka, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Jeszcze w 1986 r. podczas zwiedzania nekropolii, odwiedziłam grób polskiego pianisty. Wtedy ciągle nie było wolnej Polski i wobec tego nie można było myśleć o zorganizowaniu Jego

powrotu do Ojczyzny, gdzie chciał spocząć. Nastąpiło to dopiero w 1992 roku. Dokładnie w 51 rocznicę śmierci artysty, na pokładzie amerykańskiego samolotu wojskowego, szczątki I. J. Paderewskiego przewieziono do Polski. Do 4 lipca trwały uroczystości pogrzebowe, najpierw na Zamku Królewskim w Warszawie, potem w Poznaniu i ponownie w stolicy, w kościele św. Krzyża, skąd w dniu amerykańskiego święta narodowego niepodległości (Independence Day), wyruszyła procesja do katedry św. Jana. Tam, po mszy żałobnej z udziałem prezydentów – George’a Busha i Lecha Wałęsy, Paderewski pochowany został w krypcie katedry. Spoczął obok Henryka Sienkiewicza.

Długo nikt nic nie wiedział o sercu. Nawet o tym, że oddzielono je od ciała. Zupełnie przypadkowego odkrycia dokonał Conrad J. Wycka podczas zwiedzania, wraz ze swoim szwagrem Henrykiem Archackim, nowojorskiego cmentarza Cypress Hill (Cyprysowe Wzgórze). Zarówno groby nekropolii, jak i zbudowane w 1926 r. mauzoleum stały się celem ich wycieczki w dniu amerykańskiego święta pamięci narodowej (Memorial Day), przypadającego zawsze w ostatni poniedziałek maja i zwyczajowo rozpoczynającego letni sezon. Był 1959 rok. Fascynacja obiektem wiodła odkrywcę, co miało się wkrótce okazać, w coraz dalsze korytarze. W niszy numer 25 bocznej nawy, oznaczonej literą „G”, widniała mała marmurowa płyta z nazwiskiem; Ignacy Jan Paderewski, oraz rokiem urodzin i śmierci: 1860 -1941. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Sprawę wziął w swoje ręce

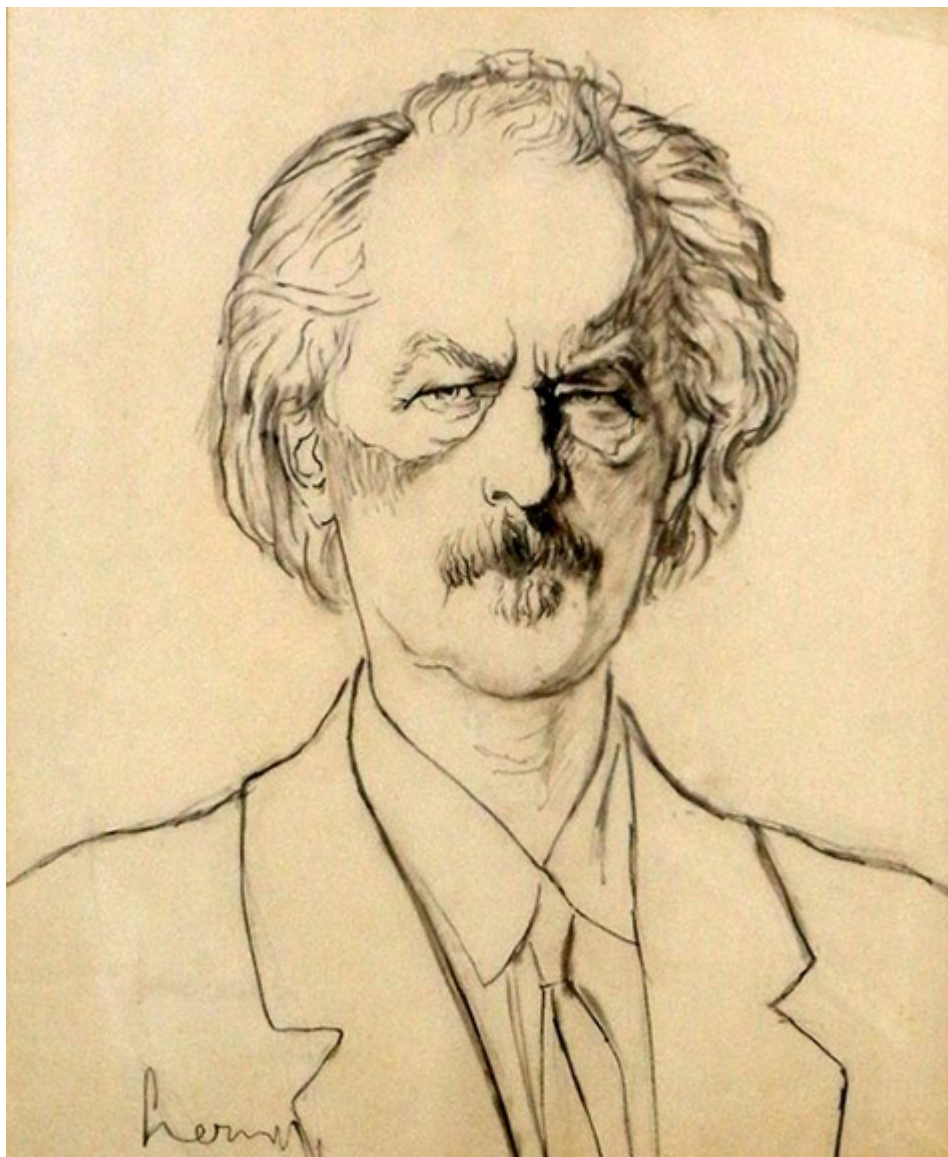
Henryk Archacki, wydawca, dziennikarz, artysta grafik, wybitny działacz i historyk Polonii, gorący miłośnik polskości. Zanim nadał jej szerszy rozgłos, zweryfikował odkrycie i ustalił kilka faktów niezwyklej historii.

Tuż przed śmiercią Ignacy J. Paderewski ustnie przekazał siostrze, Antoninie Paderewskiej Wilkońskiej, towarzyszącej bratu do ostatnich chwil życia, swą wolę, by pochowano go w wolnej Polsce, a jego serce pozostawiono w Ameryce. Pogrzebem mistrza Paderewskiego zajął się Jan Smoleński, właściciel renomowanego domu pogrzebowego w Greenpoincie, przy 1044 Manhattan Avenue, ale także wiceprezes (od 1929 r.), a następnie prezes (1942-1953) Zjednoczenia Polsko Narodowego, przez szesnaście lat również poseł w izbie niższej stanowego parlamentu w Albany, NY, człowiek zamożny i wpływowy. We wspomnieniach nadmienił:

Do najważniejszych uroczystości, które organizowałem, należał manifestacyjny pogrzeb w Nowym Jorku, wraz z przewiezieniem zwłok do Waszyngtonu, ś. p. Ignacego Paderewskiego.

Jan Smoleński, zgodnie z przekazaną mu przez A. Wilkońską wolą jej brata, usunął serce zmarłego, zabalsamował je i czekał na dalsze dyspozycje. Te nie nadchodziły. Cztery miesiące

bowiem po odejściu brata, 6 listopada 1941 r. zmarła Antonina Wilkońska. Urna z sercem Paderewskiego nadal stała w domu pogrzebowym Smoleńskiego. Czas uciekał. Rósł niepokój, co zrobić z tym sercem? Jan Smoleński podjął ostatecznie decyzję umieszczenia go w mauzoleum cmentarza Cypress Hill. Dokument nr 222146, udostępniony Henrykowi Archackiemu przez opiekuna mauzoleum Louisa Worthingtona, zawierał wszystkie fakty związane ze zdeponowaniem tam serca Paderewskiego 21 grudnia 1945 r., łącznie z pozwoleniem nr 1528 na tranzyt z domu pogrzebowego, opatrzony datą 18 grudnia 1945 r. Koszt wyniósł 25 dolarów. Jan Smoleński nie nagłośnił sprawy, a po jego śmierci 31 maja 1953 r. nikt nie znał miejsca pochowania serca wielkiego pianisty, aż do przypadkowego odkrycia sześć lat później.



Portret Ignacego Paderewskiego autorstwa Zbigniewa Czernańskiego

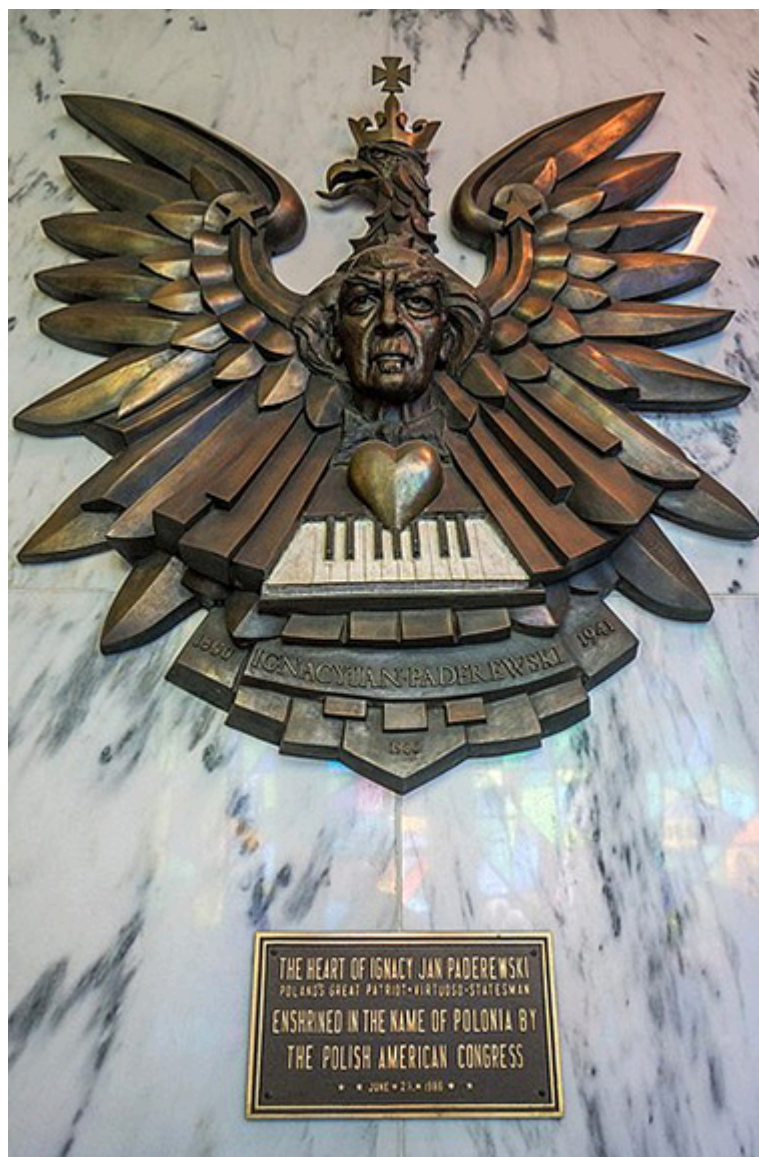
Mała nisza w mauzoleum na Cyprysowym Wzgórzu była jeszcze długi czas miejscem spoczynku serca Paderewskiego. Henryk Archacki daremnie poszukiwał innego, godnego i emocjonalnie bliższego Polonii.

Kongres Polonii Amerykańskiej, poinformowany o wszystkim w 1983 r. (choć pierwszy raz w 1966 r., ale wówczas nie podjął żadnych kroków, podobnie jak i nowojorska Fundacja

Kościuszkowska), dopiero trzy lata później powołał Komitet Serca Paderewskiego, którego przewodniczącym mianował Henryka Archackiego. Mijała właśnie kolejna rocznica urodzin pianisty. Najlepszym miejscem dla serca jawiła się Amerykańska Częstochowa w Doylestown, PA. Entuzjazm Archackiego dzielali inni członkowie komitetu. Otrzymali pełną aprobatę o. Lucjusza Tyrasińskiego, paulina, który w korespondencji z Archackim napisał:

Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej jest zaszczycone i szczęśliwe, że może przyjąć serce Paderewskiego.

Amerykańska Częstochowa była gotowa do tego aktu. A on pojawiał się w najlepszym czasie. Niemal wyreżyserowanym. Po latach niemocy sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej rozkwitało. Nabierało głębokiego charakteru duchowego centrum Polonii, dla której zawsze było serce wielkiego Polaka. I teraz do niej wracało. Mieściło się w dłoniach zakonnika. Lekkie, skurczone, z wyraźnie zarysowaną siatką wyschniętych, opasujących je naczyń krwionośnych. Przykuło uwagę skupionych wokół niego osób. Emocje zdominowało wzruszenie. Odnaleziona urna z sercem Ignacego Jana Paderewskiego naprawdę je zawierała.



Serce Ignacego Jana Paderewskiego – Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej (Doylestown, PA), rzeźba Andrzeja Pityńskiego, fot. wikimedia commons

W sobotę, 21 czerwca 1986 r. urna została przywieziona do *Johnson Atelier Technical Institute of Sculpture* w Mercerville, NJ, do pracowni rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego. Tam, siedmioosobowa komisja, którą tworzyli: Henryk Archacki, przewodniczący Komitetu Serca Paderewskiego, pułkownik Anthony K. Podbielski, wiceprzewodniczący, o. Lucjusz Tyrasiński, dyrektor i kustosz sanktuarium maryjnego w

Doylestown, Andrzej Pityński, Stanisława Peczyńska Dziekanowski, Jerzy Koss i Malina Stadnik, dziennikarka „Nowego Dziennika“, zdecydowała, że trzeba rozwinąć grube zwoje bandaża z gazy, by przekonać się, co kryją. Nie było wątpliwości. Zabalsamowane, kruche serce wielkiego Polaka dokonywało ostatniego etapu swej niezwykłej wędrówki. Ponownie otulone świeżą gazą, poświęcone przez o. Lucjusza, wraz z dokumentem świadków wydarzenia, umieszczono i zalutowano w urnie-płaskorzeźbie wykonanej przez Andrzeja Pityńskiego. Dzieło godne Mistrza. Brązowy odlew polskiego orła w koronie z rozpiętymi skrzydłami, oparty na kompozycji koła o średnicy 120 cm i grubości 22, 5 cm, przedstawia w centralnym punkcie ekspresyjną twarz Paderewskiego skłonioną nad położonym sercem, spoczywającym na fragmencie klawiatury fortepianu. Tego samego dnia przewieziono tę urnę do Amerykańskiej Częstochowy i przytwierdzono do marmurowej ściany wschodniej części westibulu świątyni. Uroczystość odsłonięcia i dedykacji odbyła się 29 czerwca 1986 r., w czterdziestą piątą rocznicę śmierci Paderewskiego.

Obok wejścia do hotelu Buckingham na zachodniej stronie Manhattanu przy 6 Alei i 57 Ulicy wisi okazała, wykonana w brązie tablica, informująca, że to miejsce było ostatnią rezydencją Ignacego Jana Paderewskiego (1860-1941), premiera rządu polskiego, wielkiego pianisty, kompozytora i przyjaciela sześciu amerykańskich prezydentów, którego patriotyczne

wysiłki spowodowały odzyskanie przez Polskę niepodległości w końcu pierwszej wojny światowej. Paderewski debiutował w Carnegie Hall w czasie pierwszego turnee po Stanach Zjednoczonych w 1891 r. – czytamy dalszą część tablicy – i do śmierci w istotny sposób uczestniczył w życiu kulturalnym Nowego Jorku.

Artykuł ukazał się na stronie Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku: <https://www.pilsudski.org/>



Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

Andrzej Pityński – twórca niezłomny

Lipcowe rocznice



Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem, Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. domena publiczna

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Nazwa jest dość jasna. Pochodzi od kwitnięcia drzewa lipowego. Dawniej był to lipień – od podbierania barci pszczelich. Ten miesiąc, który otwiera drugie półrocze jest dosłownie

przeładowany zdarzeniami historycznymi i tym wszystkim, co dzieje się w świecie przyrody. W lipiec 2006 roku wpisana jest przede wszystkim dwieście siedemnaście rocznica zburzenia paryskiej BastylII, symbolu starego porządku, którego stany – dotychczas upośledzone – miały po prostu dość. To właśnie z tamtego obszaru historii pochodzą szczytne, prawdziwie ludzkie hasła: Wolność, Równość, Braterstwo – nigdy i nigdzie niezapomniane. Dziś, jak i dawniej pociągające, aktualne, niezbędne do życia w ładzie społecznym, niczym czysta woda i przejrzyste powietrze. Dla nas, Polaków powodem do dumy jest – niejako spokrewniony ideowo z tamtym „lipcem francuskim” – Sejm Czteroletni, promujący nad Wisłą idee wolnościowe; sejm, który wydał szlachetny, najszlachetniejszy owoc w postaci Konstytucji Trzeciego Maja. Jest co wspominać i jest co – dziś i jutro – naśladować...

To był wiek osiemnasty. Przecież jednak i kilka stuleci wcześniej zrodziły się idee równie budujące. 1 lipca 1569 roku – podpisany został doniosły akt Unii Lubelskiej, który łądził stosunki pomiędzy Koroną i Litwą, umacniając wewnętrznie i zewnętrznie kształt Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pamiętam lata sześćdziesiąte, gdy jako pracownik nauki Uniwersytetu Jagiellońskiego oprowadzałem gości z Wilna po wzgórzu wawelskim. Litewscy uczeni byli wyraźnie zaskoczeni i prawdziwie wzruszeni, kiedy stwierdzili, że na portalach, na licznych płaskorzeźbach herby Korony i Litwy, Orzeł Biały i

Pogoń – są tej samej wielkości. Cóż mogłem wówczas powiedzieć? Jedynie prawdę. To właśnie, że owe znaki i dawne symbole wyrażały samą istotę współżycia narodów połączonych unią braterstwa, unią opartą na gruncie zachowania podmiotowości każdej ze stron... Jeśli się cofnie pamięcią do roku 1410, to stanie przed naszymi oczyma słynna (15 lipca) bitwa pod Grunwaldem przypominana wielokroć przez malarzy, pisarzy, filmowców...

Inne lipcowe rocznice. Jest ich – jak wiadomo – wiele. Jaśniej blaskiem – jak wspomniano – rocznica zwycięskiego Jagiełłowego Grunwaldu. Warto też wymienić jeszcze dwie; z innej niejako dziedziny. Czwartego lipca (1934 r.) zmarła Maria Skłodowska-Curie, a dziewiątego tegoż miesiąca (1929 r.) Julian Fałat. I ona i on odeszli, a żyją i świecą, niczym żywe pochodnie pośród szarzyzny naszej codzienności i udręki, zaświadczając na każdym kroku, że uczone i artysta – mocując się z trudnym tworzywem – ciężary i ryzyko biorą na siebie, a otoczeniu i światu dają szczerze same WARTOŚCI. Warto o tym pamiętać dzisiaj, kiedy profesor uniwersytetu może za swoje miesięczne pobory kupić sobie na targu 2500 pęczków koperku... Można to zresztą przeliczyć na buraczki, na marchew. Jak kto woli. To mało ważne. Ważne jest to – i zarazem smutno – że to zaledwie tyle.

Ala przecież lipiec, miesiąc miodny, miesiąc wakacyjny niesie nam bardziej radosne tony. W dziewiętnastym wieku poetka, dziś

niesłusznie uważana za nieco staromodną, Maria Konopnicka bujny rozrost przyrody wiązała z nadziejami na odzyskanie przez nasz kraj Niepodległości. W wierszu *Lipy kwitną...* pomieszczonym w zbiorze *Linie i Dźwięki* (1897) pisała wyrażając przeświadczenie, że lipcowe słońce rozgrzeje patriotyczne uczucia narodu i umocni jego wolnościowe aspiracje:

Lipy kwitną... Wieją wonie miodu,
Prastarego wieją wonie cudu...
W słońce spojrział ślepy syn narodu,
W słońce spojrział duch mojego ludu!

Jarosław Iwaszkiewicz natomiast tak wyrażał nastrój własnej duszy w liryku *Lipiec* z międzywojennego tomu *Księga dnia i księga nocy* (1929):

W niebieskim ogrodzie
Wonno i przyjemnie
Obłoki jak łodzie
Przepływają we mnie...
I wszystko się zlewa
W łagodną pogodę.
Lipiec miodem śpiewa

Złoci żyto młode.

Innym sposobem, w innej poetyce i stylistyce, rzecz ujmował przedstawiciel Krakowskiej Awangardy, Julian Przyboś. Nie mogą nas wcale zaskakiwać u niego, nauczyciela języka polskiego w szkołach cieszyńskich w międzywojniu, takie oto radosne metafory, które zastosował w wierszu *Lipiec* (tom *Równanie serca* – 1938):

Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie,
drży powietrze po ich śmigłym zniku.
Wakacje, panie profesorze! Pora
trzepać wesoło słowa jak futra na wiosnę

oraz

czasowniki przez dni lata odmieniać!

To prawda. W lipcowe dni, zaprawione wonią kwiatu tak bardzo dobrego „na kaszel”, nie zawadzi refleksja o naszej historii, nie zawadzi też odrobina euforycznej radości, jaką niesie przyroda i poezja. Ale ta refleksja powinna zapewne walnie uwzględniać wielowiekowe doświadczenia Polaków zawarte w przysłowiach,

których – w odniesieniu do lipca – jest wyjątkowo dużo. Jedne mówią o zbliżających się pożytkach: „Kiedy lipiec daje deszcze, długie lato będzie jeszcze”; „Lipcowe upały, wrzesień doskonały”; „Lipiec upały, wrzesień doskonały”; „W lipcowej porze łowią raki i piskorze”; „W lipcu słońce znów doskwiera, miód na lipach pszczołka zbiera”.

W niektórych zawarte są nauki i porady, niekiedy ostrzeżenia: „Gdy po gorącym lipcu sierpień chłodzi, twarda zima i duży śnieg zaszkodzi”; „Lipcowe deszcze, dla chłopa kleszcze, a jak pogoda, większa swoboda”; „Lipiec, ostatek chleba wypiecz”; „Od lip ciągnie wonny lipiec, nie daj słońku kłosa przypiec”; Upały lipcowe wróżą mrozy styczniowe”; „W lipcu trza gotować, co na jesień obiadować”. Tyle tych mądrości, przezorności. To dobrze... A nam co pozostaje na wakacje? Chyba jeszcze raz posłuchać słynnego „Iwachy” ze Stawiska. Tym razem mamy wybrane strofy wiersza *Lipiec* (z tomu *Krągły rok*):

Pachną lipce – Reymontowskie
i zwyczajne
pełne rowy kwietnej piany
miododajnej

kopic żyta złote róże
ściąga sinych wstążek krata

rzeki małe rzeki duże
Bzura Mrowa i Pilica
i Utrata
[...]

asfalt się roztopia w niebie
pełen olśnień
i cholerne ciągnie ciebie
w Polskę w Polskę

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Upojny klimat czerwca

Rozkwit poezji w maju